



13 PAZ 1969

Termin zwrotu książki:

13 PAZ 1969

SPiB Dacod "R-stok Nr 1220 N.100.000 A-7

Karta terminów zwrotów.

KAROL DICKENS.

48.
105

WALKA ŻYCIA

Z 4-MA ILUSTRACYAMI.



POZNAŃ.

NAKŁADEM Drukarni i Księgarni Św. Wojciecha.

:: NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMP. CO. INC. ::

1914.



820-311.2

m

 32.
 R 38
 9/11.464.

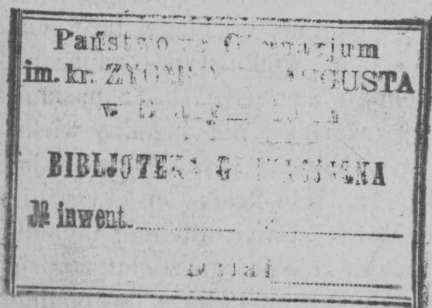
Walka życia nie należy do dużych kompozycji wielkiego angielskiego powieściopisarza. Karol Dickens (ur. 1812 r., um. r. 1870. Życiorys obszerniejszy znajduje się w tomie pierwszym wyboru dzieł „Świerszcz za kominem.”) pragnął w niej uwydatnić podobieństwo pomiędzy orężnym bojem dwu wojsk, którego skutki trwają długo, lecz czasem stają się podobne do bladej łuny odległego pożaru — a wiekuistymi zapasami człowieka z losem o szczęście, — zapasami, których ognistej zażartości nie łagodzą wieki. Bez wątpienia i w jednym i w drugim zjawisku niemałą gra rolę traf: on krzyżuje nieraz najszczegółowiej i najsubtelniej uplanowane zamysły ludzkie; ale potęgą, zdolną zmusić szczęście, aby poszło w tropy ludzkie, jest podług Dickensa: poświęcenie i miłość wzajemna bli-

źniego, bo „takie prawo wieczności: zło często słabnie samo przez się i umiera wraz z tym, kto je czyni — a dobro — nigdy“. (*Nasz wspólny przyjaciel* — tegoż autora).

Na nic nie zdadzą się drwiny z życia i nazywanie go nędzną farsą, jak to zwykł mówić doktor w „Walce życia“. „Śmiechy i szyderstwa nie wysięją ludziom żadnych kłosów“.

Na tem tle ogólnoludzkich zagadnień rozwija się akcja powieści, wybornie odtwarzana przez gronko ludzi, po mistrzowsku przez Dickensa scharakteryzowanych.

A. M.



CZEŚĆ I.

Niegdyś w potężnej Anglii odbyła się krwawa bitwa, mniejsza o to, gdzie i kiedy. Bito się cały długi, letni dzień, kiedy już zieleniec zaczęła bujna trawa. Polne kwiaty, stworzone ręką Boga, by w ich pachnących kielichach zbierała się rosa poranna, w dniu tym przepełnione krwią z drżeniem pochyliły się ku ziemi. Owady, które subtelną swą barwę otrzymały od niewinnych liści i traw, w tym dniu ubarwiły się posoką umierających, a umykając w trwodze, pozostawiały za sobą nie zwyczajny ślad. Różnobarwne motyle roznosiły na swych skrzydłach zapach krwi. Rzeczka poczerwieniała. Stratowane pole pokryło się błotem, a oddzielne kałuże, zbierające się w śladach nóg ludzkich i końskich kopyt, migotały w słońcu złowieszczym połyskiem.

Nie daj nam Boże widzieć to, co zobaczył miesiąc, wypłynawszy z poza ciemnego obramo-

wania dalekiego wzgórka, patrząc z wysokości na pole bitwy, pokryte martwymi ciałami ludzi, leżących na wznak, w takiej pozycji, w jakiej bywało leżeli przy piersiach matki, uśmiechając się do niej przez sen. Niemili zaduch, unoszący się nad nimi, mógłby opowiedzieć wszystkie okropności krwawego pogromu i przedśmiertne męki zabitych żołnierzy. Nieraz księżyc smutnie spoglądał na pole bitwy i gwiazdy troskliwie czuwały nad spokojem martwych, a wiatr ze wszech stron ziemi dopóty owiewał równinę, póki nie usunął wreszcie wszystkich śladów straszliwego pobojuwiska.

Długo jeszcze leżeli, tylko od czasu do czasu dając znać o sobie, a przyroda w oczekiwaniu nowych ludzkich namiętności, wkrótce przybrała znowu poprzedni spokój i jakby nic się nigdy nie zdarzyło, znowu z uśmiechem patrzyła na pole zbrodni. Znowu nadleciały skowronki i dźwięcznie śpiewały w górze; lekkie cienie obłoków w wyścigach wzajemnych przesuwają się nad polami, ogrodami i lasami, nad dachami domków i nad szczytem dzwonnicy małego, skrytego w zieleni miasteczka, i leciały w świetlaną dal, gdzie dogorywają ostatnie promienie zachodzącego słońca a niebo zlewa się ze ziemią. Na polach zawrzała praca; siano, pszenicę i żyto zwożono do spichrzów. Na brzegu rzeczki zaturkotały koła młynu; pogwizdując, szli wieśniacy za pługiem, żeńcy i kosiarze rozchodzili

się grupami po całym polu. Tutaj pały się stada, malcy z krzykiem i hukaniem gonili ptactwo. Folwarczne kominy dymiły i spokojnie dźwięczały świąteczne dzwony, a starcy dożywali swego wieku i umierali. Wiotkie polne trawy i różnobarwne kwiaty pojawiały się na świat Boży i odżywały. I to na tem samem krwawem polu, gdzie niegdyś ludzie padali tysiącami w straszliwym boju.

Prawda, na niwach między kłosami pojawiały się ciemno zielone plamy, występujące z roku na rok w tych samych miejscach. Ludzie patrzyli na nie z grozą, bo wszystkim było wiadomo, że grunt pod nimi użyźniony trupami ludzi i koni, zrzucanych bezładnie na wspólny stos. Wieśniacy, idący za pługiem po tych miejscach, odwracali się ze wstrętem od wielkich, masami wijących się robaków, a snopy kłosów stąd zebrane, odrzucali na bok. Przez długie lata utrzymywała się dla nich nazwa „krwawych“ i starannie ich unikano przy zbieraniu z pola w święto żniw. Przez długie lata każda skiba odkrajanej pługiem gleby odkrywała jakieś ślady bitwy; pouszkadzane drzewa, pokruszone na drobne kawałki koły i rozwalone mury jasno mówiły o tem, że tu niegdyś odbywała się zacięta walka. Miejscami nie było śladu roślinności, do tego stopnia niegdyś wszystko wydeptano. Dziewczęta wiejskie nie odważały się zrywać kwiatów z tego pola śmierci, jak

gdyby nie wydawały im się pięknymi i wiele lat przeszło, zanim zniknęła wiara, że tu zebrane jagody pozostawiają na rękach nie dające się zmyć ślady.

Jednakże lata, niosące wciąż jednakowo lekkie letnie obłoczki, pomału usunęły i te ślady krwawej bitwy; wspomnienia o jej minionych dziejach przeszły w zakres podań i smutno przypominały się, jako opowieści w zimowe wieczory, które z każdym rokiem coraz więcej i więcej znikwały z pamięci. Na miejscach, gdzie tak długo nie zbierano jagód, zaczęto budować domy i zakładać sady, w których dzieci bawiły się w żołnierzy. Uszkodzone drzewa poszły na drwa i zgorzały ze szumem i trzaskiem podczas uroczystości rodzinnych. Pamięć o ciemnozielonych plamach zanikła podobnie, jak i o tych, których ciała leżały pod nimi. Jeśli niekiedy przy orce znaleziono jeszcze jakiś kawałek zardzewiałego metalu, to trudno już było odgadnąć jego dawne przeznaczenie i z tego powodu wynikały nieskończone spory i domysły. Stary pogięty pancierz i hełm z tych dawnych czasów wisiały nad wybielonym wchodem do kościoła, a sędziwy starzec, który nie był już w możności rozróżnić ich obecnie, pamiętał, kiedy, będąc jeszcze maleńkiem dzieckiem, ze zdziwieniem wytrzeszczał na nie oczy. Jeśliby padli w tej bitwie ludzie mogli choć na chwilę zmartwychwstać w tym stanie i na tem miejscu,

na którem ich zastała przedwczesna śmierć, jakimiż straszniemi, okaleczaleniemi postaciami pokryłoby się całe pole. Pojawiliby się wszędzie: u okien i drzwi, przy spokojnych stadach, w domach, stodołach i spichlerzach, przy kolebkach, we falach rzeczki, dookoła młyna; wypełniliby łąki, owocowe sady i zawałiliby sobą całą rzekę. Tak to zmieniło się pole walki, na którem padły legiony w strasznej rzezi.

Lecz nigdzie prawdopodobnie nie zmieniło się tak, jak w maleńkim, owocowym sadku, okrążającym stary kamienny dom z portykiem obrosłym pnąciami różami. Sto lat temu wstecz, w prześliczny jesienny dzień dwa młode dziewczątka, zanosząc się śmiechem, płaśły wesoło na łączce przy dźwiękach muzyki, a z pół tuzina robotnic, stojących na drabinach i zbierających z jabłoni owoce, zapominało o robocie, lubując się ich płasami. Scena była rzeczywiście ujmująca, żywa i naturalna; cudny dzień, oddalone spokojne miasteczko i dwie tańczące dziewczynki w pełni swobody i wesela.

Jeśli by ludzie mniej myśleli o swoim wyglądzie, według mnie życie byłoby o wiele znośniejsze. Radowała się dusza na widok tańca dwojga dziewcząt. Widzów nie było, o ile nie liczyć robotnic, biorących udział w zabawie. Nie było celem dziewcząt rozweselać ich, tańczyły one rzeczywiście dla własnego zadowolenia, tak przynajmniej

wydawało się z boku. A jak przytem tańczyły!

W każdym razie nie tak, jak zawodowe tancerki, albo przykładowe wychowanki jakiejś modnej pensyi. Nie, ich taniec nie przypominał ani kadryla, ani menueta, ani tańca sielskiego; nie można go było zaliczyć ani do starej, ani do nowej szkoły; nie zbliżał się charakterem swym ani do francuskiego, ani do angielskiego, tylko zlekka przypominał hiszpański, odznaczający się, o ile mi wiadomo, żywością i lekkością ruchów, pod dźwięk kastaniet, dodających mu właściwego rytmu i czarującego powabu. Młode dziewczęta krążyły po sadzie, pomiędzy owocowemi drzewami, a ich ożywienie rozszerzało się podobnie, jak kręgi na wodzie, stopniowo udzielając się całemu otoczeniu. Zdawało się, że wszystko tańczy: rozsypujące się na ramiona włosy, rozwiewające szaty, bujna trawa u ich stóp, szelest listków, miękki cień drzew, muskający wietrzyk — słowem, cały świat, poczynając od obu dziewczątek aż do ukazującego się gdzieś daleko na horyzoncie oracza.

Wreszcie młodsza, zmęczona, ze śmiechem osunęła się na ławkę; starsza oparła się o drzewo obok niej. Wędrowni muzykanci, skrzypek i harfiarz, umilkli, kończąc przepysznym akordem, jakby oznajmiając o pełnej świeżości swych sił; a tymczasem tak silili się i doszli do tak szybkiego tempa, że nie byłiby w stanie

utrzymać go choćby pół minuty dłużej. Robotnice z góry wyraziły półgłosem swoje zadowolenie i skoro tylko umilknął dźwięk ostatniej nuty, natychmiast zabrały się znowu do pracy, jak pszczoły.

Robota zawrzała jeszcze żywiej niż przedtem, może dlatego, że stary dżentelmen, nikt inny, tylko sam doktor Dzeddler, właściciel domu ze sadem i ojciec młodych dziewcząt, szybko wyszedł z domu i patrzył, co się stało i kogo lichy przyniosło do sadu z muzyką i to jeszcze tak rano. Doktor Dzeddler był dobry wprawdzie filozof, jednakże nie meloman.

— Muzyka i tańce dziś! — zamruczał do siebie. — No, to sobie wybrali dzień! Grez! Merion! — dodał głośno. — Cóż to, czy świat oszalał, czyście wy poszalały dziś jeszcze więcej niż zwykle?

— A choćby i tak było, ojcie — odpowiedziała młodsza córka, Merion, podchodząc i spoglądając mu w oczy. — Nie broń, wszak to dzisiaj dzień urodzin.

— Czyżże to dzień urodzin? — powtórzył doktor. — Czyż nie wiesz, że w każdym dniu ktoś rodzi się na świecie? Czyż ci nie wiadomo, wielu nowych aktorów co minutę pojawia się na scenie dla tej nużącej i niesmacznej farsy, nazwanej życiem?

— Nie, ojeze, nie wiem.

— No, skądże masz to wiedzieć, wszakżeś kobieta i to jeszcze niedojrzała. Przypuszczam, że to dzisiaj twój dzień urodzin, czy tak?

— Czy rzeczywiście tak przypuszczasz, ojciec? — zawołała jego ulubienica, składając usta do pocałunku.

— A więc przyjmijże moje życzenia i wraz z nimi moje serdeczne uczucia — powiedział doktor, całując ją. — Pragnę, by ten szczęśliwy dzień sto razy jeszcze powtórzył się w twojem życiu. Dobryś! i ja pragnę powtórzenia takiej głupiej farsy, jak życie, ha, ha, ha! — mruczał do siebie doktor.

Doktor Dzeddler był prawdziwym filozofem. Istota jego filozofii polegała na tem, że wszystko na świecie uważał za niesmaczne i nie zasługujące na poważną uwagę rozumnych ludzi. Pole bitwy, na którym przeżył cały swój wiek, nie pozostało bez wpływu na układ jego myśli.

— Powiedz mi jednak, skąd wzięli się ci muzykanci?

— Przysłał ich Alfred — objaśniła Grez, poprawiając we włosach siostry polne kwiaty, które rozsypały się w czasie płasów.

— Alfred? Ach, tak!

— Tak. Spotkał ich, wracając do miasta, gdzie zatrzymali się na nocleg. Dziś dzień urodzin Merion, chciał zrobić jej przyjemność, przysłał więc ich do mnie z prośbą,

aby zagrali jej serenadę, jeśli bym nic przeciw temu nie miała.

— Tak, tak — zauważył doktor — on we wszystkim na tobie polega.

— A ja się zgodziłam — ciągnęła Grez niezmieszana i kiwnąwszy głową, zaczęła zachwycać się siostrą — Merion bardzo się tem ucieszyła i przyszło jej na myśl potańczyć, a ja poszłam za jej przykładem. Aż w końcu straciłyśmy siły, tańcząc z tem większem zadowoleniem, że muzykę przysłał Alfred. Nieprawdaż Merion?

— Ach, doprawdy, nie wiem Grez. Że też ty masz zawsze ochotę drażnić mnie tym Alfredem.

— Drażnię cię, kiedy mówię o twoim ukochanym?

— Tak ciągle o nim wspominasz — dąsała się kapryśna Merion, obrywając płatki kwiatów i rzucając je na ziemię. — Dokuczyły mi ciągle te przymówki; co się zaś tyczy jego miłości...

— Nie mów o nim tak lekko, moja droga, on naprawdę kocha ciebie! — gorąco przerwała jej siostra. Na całym świecie niema człowieka szerszego i bardziej ci oddanego.

— Nie przeczę — odpowiedziała obojętnie Merion, podniósłszy brwi. — Być może, że masz słusność; jednakże jakaż to zasługa z jego strony? Ja go przecież o to nie prosiłam i od niego wierności nie wymagam. Jeśli spodziewa się, że ja... No, droga Grez i naczóż te gawędy a do tego teraz?

Miło było patrzeć na zręczne, młode dziewczęta, kiedy, objawszy się, migały między drzewami. Powaga jednej stanowiła zupełny kontrast z żywością drugiej, kontrast ten jednakże nie niszczył ich wzajemnego, czułego przywiązania. Podczas serdecznego współżycia oczy młodszej nieraz napełniały się łzami i głębokie, gorące uczucie gotowe było wyrwać się na zewnątrz, bez względu na chęć ukrycia go pozorem żartu, kaprysu lub obojętności.

W istocie nie było pomiędzy nimi większej nad cztery lata różnicy, a jednak Grez wydawała się znacznie starszą niż siostra. Jak to się często dzieje, kiedy w rodzinie niema matki — doktor rychło owdowiał — musiała wziąć na siebie wszystkie troski o młodszą siostrę i zająć miejsce matki. Młodsza, nie mogąc dla swej natury rywalizować z nią i brać udziału w jej pracach, współdziałała całą siłą swej sympatii i gorącego przywiązania. Macierzyńskie uczucia są tak święte same przez się, że nawet cień ich oczyszcza i podnosi ludzkie dusze!

Doktor przyglądał się córkom i słuchał, o czem mówiły. Zrazu ograniczył się w swych rozmyślaniach do uwagi nad bezmyślnością każdej miłości, z powodu której młodzież nakłada na siebie dobrowolne więzy, uważając za rzecz poważną taką niedorzeczność. Wszak wcześniej, czy później muszą pozbyć się ułud. Wszak zawsze we wszystkim następuje rozczarowanie!

Przymioty duszy Grez, stworzonej do życia rodzinnego, były widoczne dla doktora w jej skromnym wyglądzie, stanowiącym zupełny kontrast z pięknnością młodszej córki; zaczął się smucić nad jedną i nad drugą, kiedy zastanawiał się nad niesmakiem życia. Nigdy nie myślał nad tem, czy córki jego zechcą kiedy poważniej ułożyć swe losy; nie darmo był filozofem.

Z natury dobry i wyrozumiały, podobnie jak wielu, potknął się o filozoficzny kamień, który znaleźć o wiele łatwiej niż przedmiot poszukiwań alchemików; ten kamień często wytrąca z toru najlepszych ludzi, władając zgubną własnością zamieniania złota w proch, a każdego skarbu w nic nie znaczącą rzecz.

— Briten! — krzyknął doktor — Hej, Briten!

Małeńki człowieczek, z niezwykle ponurą i niezadowoloną twarzą, ukazał się w drzwiach domu i zapytał na wezwanie zupełnie beczere-monialnem: — No, cóż tam jeszcze?

— Gdzież stół, nakryty do śniadania?

— W domu.

— Przecież ci wczoraj jeszcze kazano nakryć w sadzie? — ciągnął doktor — Czyż nie wiesz, że oczekuję dżentelmenów do dzieła, które winno być skończone do przyjścia pocztowej karety? Żywo!

— Czy mogę wszystko sam jeden zrobić, doktorze Dzeddler? Sam pan osądź, robotnice zajęte w sadzie! — odpowiedział Briten, za każdym słowem coraz wyżej i wyżej podnosząc głos.

— No, teraz już są wolne — zauważył doktor, patrząc na zegarek. — Żywo, do pracy! — krzyknął — Gdzież Klemensi?

— Tutaj jestem, panie — odezwał się głos z jednej z drabin i para niezgrabnych nóg zaczęła się w dół spuszczać. — Oto właśnie gotowe, zbierajcie żywo, dziewczęta. Wkrótce skończymy, panie.

Z temi słowy Klemensi zaczęła się krzątać. Wygląd jej trudno opisać. Mogła mieć około trzydziestu lat, oblicze jej nosiło znamię pewnej tępości, dającej mu komiczny charakter. Twarz jednakże nie harmonizowała z chodem i ruchami. Ręce jej i nogi były jakby niewłasne, a wszystkie kończyny wydawały się wywichniętymi, skoro zaczęły się ruszać. Nie martwiła się taką budową ciała swego i nie zwracała na nią żadnej uwagi, kierując rękami i nogami, jak wypadło, pozostawiając im zresztą zupełną swobodę. Jej ogromne, nieposłuszne chodaki w żaden sposób nie mogły trafić tam, gdzie skierowały się stopy, obute w niebieskie pończochy a pstra drelichowa suknia z różnobarwnymi kwiatami miała najoryginalniejszy krój, jaki tylko można sobie wyobrazić. Nosiła stale krótkie rękawy, i dla-

tego łokcie miała zawsze podrapane i pokaleczone. One to budziły w niej czułą troskę. Napróżno jednak wykręcała ręce, starając się obejrzeć swe łokcie, które nieustannie pocierała i gładziła. Maleńki czepek nigdy nie leżał w tem miejscu na głowie, w którym przyjęto nosić tę część niewieściej toalety, a biały fartuszek dopełniał jej stroju. Bardzo schludna od stóp do głowy; była dość obrotną, bez względu na rozluźowanie swych członków. Pragnąc okazać się sprawną nie tylko we własnym sumieniu, lecz i w oczach ludzi, czyniła nader komiczne zwroty, chcąc poprawić brykle swego gorsetu lub doprowadzić do porządku nieposłuszne części ubrania.

Taką to była Klemensi Niukom. Być może, że ona sama dała powód do przekręcenia swego chrześcijańskiego imienia Klementyny, chociaż w rzeczywistości nikomu nic o tem nie wiadomo. Dziwny fenomen długowieczności, jej staruszka matka, którą utrzymywała prawie od dzieciństwa, umarła, a zresztą rodzeństwa nie miała.

Klemensi zajęła się przygotowaniem do śniadania; stawiała w zadumie przed stołem, krzyżując swe czerwone, nagie ręce i w głębokim zadumaniu rozważała, czego jeszcze brak. Przypomniawszy sobie o czemśkolwiek, pędem rzucała się do domu.

— A, oto i obaj prawnicy, panie! — zawiadomiła niezbyt zadowolonym głosem.

— A! — zawołał doktor, idąc ku bramie — witajcie, witajcie! Grez, Merion! Oto pan Snitczy i Kreggs! No, a gdzież Alfred?

— Prawdopodobnie zaraz przyjdzie, ojcie — odpowiedziała Grez. — Przed odjazdem zebrało mu się tyle czynności do załatwienia, że wstał o świcie i zaraz poszedł. Witam panów!

— W imieniu mojem i Kreggs'a — zaczął Snitczy — dzień dobry; całuję rączki panno Merion. — Pragnąłbym z panią — trudno określić, jak gorące były jego słowa, nie wydawał się bowiem przejęty zbyt ciepłymi uczuciami dla bliźnich — pragnąłbym z panią jeszcze sto razy święcić ten szczęśliwy, wspaniały dzień!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się doktor, wkładając ręce do kieszeni. Bez końca, stuaktowa farsa!

— No, panbyś z pewnością nie zgodził się skrócić jej — zauważył pan Snitczy, opierając swą teczkę z papierami o nogę stolika — wiedząc, że w niej uczestniczy tak powabna dziewczynka, jak pańska córka, Merion.

— Boże zachowaj! — odrzekł doktor. — Niech pożyje, a z pewnością pośmieje się nad tą farsą i powie za francuzami: „Komedia odegrana — kurtyna zapada.“

— I francuski dowcip i pańska filozofia niesłuszne, doktorze Dzedler; już panu to często powtarzałem. Mówi pan, że w życiu nie ma poważnego? A prawo?

— Wszystko głupstwo! — odpowiedział doktor.

— No, a zdarzyło się panu kiedykolwiek procesować się? zapytał pan Snitczy.

— Nigdy.

— Jeśli się to panu kiedy zdarzy, wówczas może zmieni pan swe zapatrywanie — zauważył Snitczy.

Kreggs, za którego zastępcę uważał się zazwyczaj Snitczy, niedokładnie zdawał sobie sprawę z odrębnego istnienia swej osoby. I teraz dodał uwagę, pochodzącą z jego wyłącznej myśli. Z tego też powodu miał wielu przyjaciół w świecie, pomiędzy niegłupimi ludźmi.

— Wszystko na świecie stało się już ponad miarę swobodne — rzekł pan Kreggs.

— To znaczy co właściwie: prawo?

— Tak — odpowiedział pan Kreggs — i samo prawo i wszystko inne. To choroba wieku. Jeśli mamy przypuścić, że życie jest komedią, na co ja, w ostateczności, mógłbym się zgodzić, to trzeba, aby była ona pełna treści. Życie powinno być ciągłą walką, panie, to jego przeznaczenie. A teraz wszystko uproszczone i ułatwione do niemożliwości. Maścimy wrota wiodące do życia, a im należałoby, po prawdzie, skrzypiec na zardzewiałych zawiasach.

Wypowiadając to zdanie, doskonale zgodne z jego usposobieniem, pan Kreggs sam zdawał się skrzypiec na własnych zawiasach.

Był to człowiek czerstwy, kościsty i zimny; jego zwykła szaro-biała odzież nadawała mu wygląd krzemienia, a migotliwe, niespokojne oczka, zdające się miotać iskry, dopełniały analogii.

Wogóle trzy królestwa przyrody miały swoich przedstawicieli w postaci trzech współbiedsiadników: jeśliśmy bowiem porównali Kreggs'a do krzemienia, to Snitezy mocno podobny był do gapiowatej sroki lub wrony, a oblicze doktora było jak rumiane, zimowe jabłko z czubkiem z tyłu zamiast szypułki.

Wtem piękny młodzieniec w podróżnym ubiorze, w towarzystwie tragarza z pakunkiem, ukazał się przy furtce ogrodu; twarz jego tchnąca radością i nadzieją w zupełności harmonizowała ze ślicznym porankiem. Trzej dżentelmeni obścapi go, podobnie jak trzy przebrane gracye lub złowieszcze parki i powitali go pozdrowieniem.

— Sto lat życia, Alfie! — zawołał doktor.

— Obyśmy sto lat przeżyli i święcili tę szczęśliwą rocznicę, panie Gitfild — powiedział Snitezy z niskim ukłonem.

— Szczęśliwą, hm! — zamruczał kwaśno pod nosem Kreggs.

— Co za napaść — zawołał Alfred z komicznym przestachem — co za szereg: jeden, dwóch, trzech niedobrych wróżbitów! Lichy znak przed puszczeniem się na odkryte morze życia! Na szczęście spotkałem rano pierwszą

Greż, kochaną, dobrą Greż i błogosławiąc temu, nie przywiązuję żadnej wagi do spotkania z wami! Nie boję się was!

— Przepraszam, panie, „ja“ byłam pierwszą — wmieszała się Klemensi Niukom — Panienka Greż jeszcze ze wschodem słońca poszła do sadu, a ja byłam w pokojach. Przypomina pan sobie?

— To prawda. Klemensi ma słuszość! Tak, dzięki jej nie boję się was! — powiedział Alfred.

Snitczy roześmiał się wesoło.

— Za siebie i za Kreggs'a. Ciągnij los pod znakiem Klemensi.

— Dlaczegoż nie? Ona może się przydać nie gorzej od innych — wyraził Alfred, przyjacielsko ściskając rękę doktora, a także Snitczy'ego i Kreggs'a. — No, ale gdzie...

Nagle rzucił się w stronę nadchodzących sióstr i popchnął w pośpiechu Jonatana Snitczy na Tomasza Kreggsa tak, że zbliżyli się do siebie więcej, aniżeli tego wymagała towarzyska rozmowa. Nie trzeba dodawać, że młodzieniec podszedł najpierw do Merion, a następnie do Greż, przyczem obejście jego z panienkami mogło się wydać panu Kreggs'owi zanadto swobodnem.

Pragnąc zapewne nadać rozmowie inny kierunek, doktor Dzeddler zaprosił gości na śniadanie i wszyscy usiedli za stołem. Greż,

zajmując miejsce gospodyni, urządziła tak, że oddzieliła siostrę i Alfreda od reszty towarzystwa. Snitczy i Kreggs zasiedli razem, kładąc dla większego bezpieczeństwa teczkę między siebie, doktor swoim zwyczajem zajął miejsce naprzeciw Grez. Klemensi usługiwała u stołu, a mrukliwy Briten, w roli głównego krajczego, przekrawał wędliny i cielęcinę na drugim stole.

— Mięsa? — lakonicznie poprosił Briten, podchodząc do Snitczy'ego z nożem i widelcem tak nadstawionymi, jakby go chciał przebić na wylot.

— Dziękuję — odpowiedział doktor.

— Panu także? — zwrócił się Briten do Kreggsa.

— Bez tłuszczu i nie przypalonego — była odpowiedź.

Skoro dokonał tej czynności a także i doktorowi podał niewielką porcję na talerzu, Briten, jakby uważał, że nikomu z pozostałych jeść się nie chce, zajął miejsce jak tylko można było najbliżej adwokatów i patrzył im nieżyczliwie w usta. Raz tylko, kiedy bezzębny Kreggs o mało nie udławił się, nie mogąc uporać się z kaskiem, twarz jego rozjaśniła się i zawołał.

— Ech, już myślałem, że nadszedł koniec!

— No, Alfredzie — proponował doktor — czyż nie dokończymy wreszcie rozmowy.

— Tak, tak — jednogłośnie oświadczyli Snitczy i Kreggs, nie mając widocznie zamiaru przerywać swego zajęcia.

— Alfred, nie tknąwszy prawie jedzenia i zajęty obecnie czem innym, nie zupełnie wiedząc, o co chodzi, odrzekł:

— Jestem gotów, panie.

— Jeśli to co poważniejszego — zaczął doktor — w takiej...

— Głupiej farsie, jak życie — poddał Alfred.

— W takiej głupiej farsie, jak życie — powtórzył doktor — to możnaby było wskazać dziwny zbieg w dniu rozstania dwóch urodzin, związany dla nas czterech z wieloma drogami wspomnieniami i długoletniem przyjacielskiem współżyciem. Jednakże to do rzeczy nie należy i nie o tem mam zamiar mówić.

— Nie, doktorze Dzeddler — gorąco zawołał Alfred — to należy do rzeczy i dotyczy wszystkich nas! Nie mogę o tem milczeć; tak sądzę a nawet jestem przekonany, że pańskie własne serce wskazałoby panu to samo, jeśli by mu pan zostawił swobodę. Między nami kończy się dotychczasowe współżycie, wzmocnione długimi latami, a o nowem jeszcze niema co wspominać, dopóki trwają nierozwiązane zagadnienia dawnego, tu spojrział na Merion. — Wiedźcie jednakże — dodał żartobliwym tonem, ukrywając swoje uczucie i obracając się do doktora — że w księdze życia znajdują się i poważniejsze stronnice, na przykład dzisiejsza.

— Dzisiaj! — zawołał doktor — Wierźcie panowie, że jest to najnierozumniejszy dzień

w całym roku! Dziś bowiem rocznica strasznej bitwy, stoczonej na tem miejscu, gdzie teraz siedzimy, gdzie córki moje tańczyły, jak sam widziałem, gdzie dziś rano dla nas zbierano owoce z drzew, których korzenie nie wrosły w ziemię, ale w ciała ludzkie. Tu poległa taka masa ludzi, że jeszcze za mojej pamięci, po wielu pokoleniach, odkryto tu pod naszymi nogami cały cmentarz połamanych kości, prochu z kości i stosy porozbijanych czaszek. A przysięgam, czy była choć setka ludzi między biorącymi udział we walce, któraby wiedziała, za co, albo dlaczego się bije; z liczby zwycięzców nie znalazłoby się i setki, któraby świadomie święciła zwycięstwo, ani pół setki takich, którzyby to zwycięstwo przyniosło jakąkolwiek korzyść. Czyż i teraz znajdzie się pięciu lub sześciu ludzi zgodnych ze sobą co do przyczyn i skutków, jednym słowem, nikt nie wiedział o tej bitwie nic pewnego prócz tych, którzy opłakiwali zabitych. Czy i to ma być czemś poważnem? — rzekł doktor ze śmiechem. — Mojem zdaniem, wszystko to tylko niesmaczne.

— Mnie zaś wydaje się to nader poważnem — zauważył Alfred.

— Poważnem! a, w takim razie, kochany przyjacielu, jeśli będziesz poważnie oceniał te rzeczy, nie pozostanie ci nic innego tylko albo: oszaleć i zakończyć życie, albo stać się samotnikiem i zamieszkać na jakiejs niedostępnej skale.

— Wszystko przytem stało się już tak dawno — powiedział Alfred.

— Dawno! — powtórzył doktor. — A cóż innego dzieje się teraz na świecie? Być może, żeś o czemś nowem słyszał? Ja — nie.

— A procesy? — wtrącił Snitczy, mieszając łyżeczką herbatę.

— To prawda, lecz według mnie, już teraz zbyt łatwo wyjść suchym z wody — dodał jego towarzysz.

— Daruj, doktorze — ciągnął Snitczy — lecz z całego naszego sporu odniosłem wrażenie, że w dążeniu ludzi do zwracania się do sądu i podciągania wszystkiego pod prawo, kryje się poważne znaczenie, coś rzeczywistego i pewnego, możnaby powiedzieć, istotny cel.

Wtem Klemensi w rozpędzie wpadła na róg stołu, tak że zadzwieczyła na nim wszystkie naczynia.

— Tam do licha! Cóż znowu? — zawołał doktor.

— To ta nieznośna teka, panie — odpowiedziała Klemensi — zawsze komuś pod nogi wlezie.

— Istotny cel, chciałem powiedzieć — zakończył Snitczy — godny rozważ. Czyż życie może być farsą? A prawo na co?

Doktor roześmiał się i spojrzał na Alfreda.

— Przypuśćmy, że wojna — nedorzeczność — ciągnął Snitczy — o to się nie spieram.

Oto, naprzykład, przed wami spokojny kraj — tu wskazał widelcem w dal — który niegdyś uległ napaści nieprzyjaciela i został spustoszony ogniem i mieczem. Przecież każdy z wojowników niewątpliwie przekroczył prawo ha, ha, ha! Komuż to miło poledz od ognia i miecza! To bezmyślne i głupie; trudno bez śmiechu patrzeć na takich ludzi, kiedy o tem się pomyśli. Jednak spójrzmy na spokojny kąt kraju w jego poprzednim bycie; pomyślmy o prawach własności, rozdziału, o porządku następstwa, zastawów i kupna; o prawach różnego rodzaju najmów; pomyślmy — ciągnął dalej pan Snitczy z takim przejęciem, że już prawie w zapał wpadał — o złożonych prawach nabywania i utrwalania praw na nieruchomościach i o wszystkich spornych wypadkach co do różnych kwestyi, znajdujących się w aktach parlamentu i o nieskończonej liczbie procesów, wytaczanych dla szynkany, którym może ten cichy kącik kraju dał powód, a będziecie musieli przyznać, że nad tem warto się zastanowić! Sądzę — kończył pan Snitczy, patrząc na swego towarzysza — że mówię nie tylko za siebie, ale i za pana Kreggs'a?

Kreggs w milczeniu zgodził się na to, a Snitczy, ulżywszy sobie cokolwiek potokiem krasomówstwa, uznał, że nie od rzeczy byłoby zjeść jeszcze kawałek mięsa i wypić filiżankę herbaty.

— Wogóle ja nie przywiązuję wagi do życia — mówił dalej, zacierając ręce z humo-

rem — życie jest pełne różnych głupstw, a może i gorzej jeszcze. Znamy się dobrze na zapewnieniach o bezinteresowności, zaparciu się siebie i poświęceniu. Z tem wszystkim nie trzeba się śmiać z życia; to gra i do tego poważna. Należy starać się o wygraną i to jeszcze najlepszą! Wszyscy grają przeciw wam, a zatem powinniście się starać ograć przeciwników. To bardzo interesująca rzecz. Niekiedy bywają nadzwyczaj trudne posunięcia na tej szachownicy. Śmiać się można, doktorze Dzeddler, lecz tylko w razie wygranej, a i wtedy nie zawiele. Ha, ha, ha! I wtedy nie zawiele! powtórzył jeszcze raz, poruszając głową, jakby chciał powiedzieć: „Bierzcie przykład ze mnie.“

— No a cóż ty na to, Alfredzie? — zapytał doktor.

— Zdaje mi się — odpowiedział Alfred — że dla mnie, jak i dla pana, szczególnie pożądanem byłoby, abyś pan wreszcie zapomniał o tem polu walki, jak i o innych tego rodzaju rzeczach, zwłaszcza gdy mamy przed sobą rozległe pole walki życiowej, codziennie słońcem zalane.

— Nie myślę, ażeby przez to zmieniły się zapatrywania doktora, panie Alfredzie — rzekł Snitczy. — Przeciwnicy i w tej walce zajadli i nie oszczędzający nikogo, gotowi rozbijać, rżnąć, strzelać z za węgla, przewracać wroga na ziemię i deptać nogami. Prawdę mówiąc, nie piękne to zajęcie.

— A ja myślę, panie Snitczy — odrzekł Alfred — że w życiu jest jakaś tajemna, cicha walka i nikomu nie znane zwycięstwo w głębi serc ludzkich. W życiu, przy wszystkich jego przeciwnościach i zmianach, zdarzają się bohaterskie porywy samozaparcia, które przeprowadzić tem trudniej, że odbywają się one bez świadków i nie znajdują miejsca w historii. My zaś widzimy życie tylko z szarej jego strony. Jednego podobnego porywu potrzeba, aby pogodzić z życiem najbardziej zgorzkniałego człowieka, napełniając duszę jego wiarą i nadzieją, choćby jedna połowa ludzkości wojowała, a druga procesowała się. Według mnie, to cośkolwiek za śmiało powiedziane.

Siostry słuchały z nateżoną uwagą.

— Pięknie, pięknie! — rzekł doktor — Ja już jestem cokolwiek za stary, mnie już trudno rozbudzić; nie uda się to memu przyjacielowi, panu Snitczy, jak nie udało się mojej pocziwej siostrze, Marcie Dzeddler, która wiele doświadczyła i przeżyła, a jednak nie przeszkadza jej to do tej pory żyć z ludźmi w przyjaźni. Poglądy jej są zgodne z waszemi, tylko że ona jako kobieta, odznacza się brakiem logiki i cierpliwości, tak że często z nią nie możemy dojść do ładu, to też rzadko się spotykamy. Urodziłem się na tem polu i jeszcze jako dziecko interesowałem się jego historią, szukałem istotnych przyczyn. Przeżyłem sześć-

dziesiąt lat i wciąż spostrzegałem, że chrześcijański świat, w którym tyle kochających matek i dziewcząt o sercach wrażliwych, ot jak na przykład moje, do szaleństwa lubuje się we walkach. Takie sprzeczności spotyka się na każdym kroku wszędzie i we wszystkim; i trzeba się albo śmiać, albo płakać nad ludzką niekonsekwencją. Ja zatem wybieram śmiech.

Britten, posępnie przysłuchujący się przemowom współbiesiadników, nagle przychylił się do ostatniego sądu i z piersi jego wyrwał się jakiś głuchy, niepojęty dźwięk, który miał wyobrażać śmiech. Ale ponieważ twarz jego pozostała nieruchomą jak dotychczas, nikt z obecnych nie podejrzewał, że to on dźwięk ów wydał, choć niektórzy zwrócili się w jego stronę. Jedna Klemensi Niukom domyśliła się tego, i wyrwała go z zadumy, trącając go w bok jednym ze swych ulubionych łokci.

— Czemuż ty się tak śmiejesz? — zapytała upominającym szeptem.

— Nie z ciebie — była odpowiedź.

— No, a z czego?

— Z ludzkości wogóle — wyraził Britten. Oto z czego.

— Jużes i tak stracił głowę od tych wszystkich rozpraw, a wkrótce stracisz ją do reszty! — sarknęła Klemensi, szturchając go drugim łokciem w bok, aby mu przywrócić równo-

wagę. Czy wiesz, gdzie jesteś i czy chcesz, aby cię wyproszone?

— Nic nie wiem, o nic się nie troszczę i niczemu nie wierzę — powiedział Briten z beznadziejnym i zamyślnym wzrokiem. — Niczego mi nie potrzeba.

Prawdopodobnie Benjamin Briten poczerpnął barwy na mrocznym obrazie swej beznadziejności, to jednak scharakteryzował go obecnie dość wiernie! Służył on u doktora i słyszał z dnia na dzień jego nieskończone rozprawy z różnymi ludźmi na ten temat, że życie w najlepszym razie jest komedią i głupstwem; powoli nieszczęśliwy sługa wpadł w takie bezdno sprzecznych pojęć, zaczerpniętych i z zewnątrz i z wnętrza samego siebie, że prawda w głębi tej studni zdawała się być na równej powierzchni z bezdnem mistyfikacji, w którym ugrzązł Briten. Jedyne punkty, jakie udało mu się w zupełności wyjaśnić, zawierał się w tem, że nowe elementy, nieustannie wnoszone przez Snitczego i Kreggsa w ten spór, nigdy niczego nie wyjaśniały, tylko dawały doktorowi pierwszeństwo, będąc potwierdzeniem jego słów. Stąd też nienawidził obu adwokatów, uważając ich za sprawców złego.

— No, ale obecnie nas to wszystko nie obchodzi, Alfredzie — powiedział doktor — wyzwalasz się dziś z pod mej opieki z zasobem wiedzy, nabytym w tutejszym pierwszorzędnym

zakładzie naukowym i w uniwersytecie, dopełnionym niektórymi praktycznymi wiadomościami, jakie mogły ci być udzielone od takiego wioskowego doktora jak ja i samodzielne zaczynasz życie. Wypełniając wreszcie zlecenie świętej pamięci ojca, wyjeżdżasz obecnie na trzy lata, celem uzupełnienia swej wiedzy za granicą. Jednakże nie minie i pół roku, jak o nas zapomnisz.

— Czyż to być może! Pan to wiesz lepiej odemnie, pocóż mam pana przekonywać! — odparł, śmiejąc się Alfred.

— Ja nic nie wiem — odpowiedział doktor — A ty Merion, co powiesz?

Merion, zajęta swą filiżanką herbaty, gotowa była już odpowiedzieć: — A niech sobie zapomina, to jego rzecz — ale milczała. Grez przycisnęła do swej twarzy zarumienioną twarzyczkę siostry i uśmiechnęła się.

— Spodziewam się, że byłem sumiennym opiekunem — mówił doktor — i nie nadużyłem zaufania. Dziś formalnie kończy się moja opieka. Przyjaciele nasi, Snitczy i Kreggs, przybyli ze wszystkimi dokumentami i wykazami, celem oddania powierzonego mi kapitału w twoje ręce. Miałem z nim dosyć kłopotów; ale mam nadzieję, że staniesz się wielkim człowiekiem i sam zdobędziesz majątek. Teraz zaś pora przystąpić do wypełnienia formalności; dokumenty z podpisami i pieczęciami będą ci wręczone.

— I zaświadczone, stosownie do wymagań prawa — dodał Snitczy, odsuwając od siebie talerz i biorąc papiery, które jego towarzysz wyjmował i rozkładał na stole. — Potrzeba nam dwóch obcych świadków na to, żeśmy z Kreggsem brali udział w czuwaniu nad kapitałem. Czy umiesz czytać, pani Niukom?

— Nie jestem zamężną, panie.

— O przepraszam, żeś się tego nie domyślił! — zaśmiał się Snitczy, patrząc na jej postać — Ale czytać umiesz?

— Trochę.

— Może pani się uczy czytać, studyując od rana do wieczora obrzęd ślubny? — zażartował adwokat.

— Nie — odpowiedziała Klemensi — to jest ponad moje siły. Czytam tylko na naparstku?

— Na naparstku, co też ty prawisz, moja kochana?

— I na tarce? — dodała Klemensi.

— Na jakiej tarce? Ona chyba zwaryowała! — zawołał Snitczy, otwierając ze zdziwienia oczy. — Trzeba ją oddać pod opiekę lorda-kanclerza.

— No, a jeżeli ma jakąś własność? — wtrącił Kreggs.

— Grez wmieszała się i objaśniła, że na każdej z wymienionych rzeczy jest napis, a naparstek i tarka stanowią całą podręczną biblio-

tekę Klemensi i na tem kończy się zasób jej lektury.

— Ach tak, panno Grez! — rzekł Snitczy — Ha, ha, ha! A ja myślałem, że ona jest waryatka; prawdę mówiąc, to i wygląda na to — zamruczał do siebie. — O czymże mówię naparstek, pani Niukom?

— Nie jestem zamężną, panie — odpowiedziała Niukom.

— No, a więc poprostu Niukom: niech będzie — zgodził się doktor. — A więc o czym mówi naparstek?

— Klemensi, zamiast odpowiedzi, sięgnęła do torebki i zaczęła szukać naparstka, którego jednak nie było; następnie zaczęła przeglądać drugą, gdzie wreszcie ujrzała go, jakby drogocenny klejnot, na samem dnie. Wtedy usuwając stopniowo wszystkie przedmioty, wyjęła z torebki chustkę do nosa, stoczek woskowy, czerwone jabłuszko, pomarańcz, zawinięty pens, rybią kość, zameczek, nożyczki w futerale, garstkę paciorków, kilka kłębków, igielnik, zwój papilotów i chleb. Wszystko to podawała Britenowi, starając się nie wypuścić z rąk torby, przyczem postać jej przyjęła położenie niezgodne z pojęciami o ustroju ludzkiego ciała, ani z prawami ciężenia. Nakoniec wyjęła rękę z maleńką tarką i naparstkiem na palcu. Literatura obu przedmiotów mocno się wytarła od częstego używania.

— A więc jest naparstek? — rzekł pan Snitczy, zabawiając się jej kosztem. — Cóż on wreszcie mówi?

— Tu napisane — odpowiedziała Klemensi, sylabizując i obracając dokoła naparstek — prze—bacz i za—pom—nij.

Snitczy i Kreggs zanosili się od śmiechu.

— Zadziwiająco dobrze! — zawołał Snitczy.

— I jak łatwo — wtrącił Kreggs.

— Jaka głęboka znajomość ludzkiej natury! — rzekł Snitczy.

— I jak się to da zastosować we wszystkich życiowych kwestiach — dodał Kreggs.

— A tarka? — zapytała głowa firmy „Snitczy i Kreggs“.

— Tarkamówi — rzekła Klemensi — u—czyń dru—gie—mu, cze—go prag—niesz dla sie—bie.

— To znaczy, utop bliźniego, jeśli nie chcesz, żeby ciebie utopili — objaśnił Snitczy.

— Nie rozumiem, panie — odpowiedziała, wstrząsając głową, Klemensi — nie jestem przecież adwokatem.

— Ręcę, doktorze — rzekł Snitczy, szybko zwracając się w jego stronę, chcąc widocznie złagodzić wyrażenie Klemensi — że, jeśliby była adwokatem, przekonałaby się, że tego prawidła trzyma się połowa jej klientów. W tem oni wszyscy są podobni, że nie zważają na różne szczególne okoliczności, lecz zawsze nas obwiniają. W naszym zajęciu przeważnie mamy

do czynienia z niemiłymi, swarliwymi ludźmi, którzy przedstawiają odrażający widok, a potem mają pretensję do nas za to, że my, tak jak w zwierciadle, odbiliśmy ich obraz. Sądzę, że mówię za siebie i Kreggsa.

— Bez wątpienia — odpowiedział ów.

— Może pan Briten zechce nam przynieść atrament — rzekł pan Snitczy, znowu biorąc papier — a pospieszymy się, by ukończyć wszystko jeszcze do przyjsia pocztowej karetki.

I rzeczywiście można było się obawiać, że karetk podjedzie, zanim się ocknie pan Briten i zrozumie, gdzie jest. Przeprowadzając w myśli paralełę między doktorem a adwokatem i pomiędzy nimi a ich klientami, starał się ująć przeznaczenie naparstka i tarki — myśl dla niego nową w jakiś system filozofii. Płatał się w teoryach, jak w swoim czasie płatała się jego ojczyzna i stałby jak ośłupiały, gdyby mu nie przyszła z pomocą Klemensi, jego dobry geniusz. O jej umiejętności nie miał on wysokiego pojęcia, ponieważ nigdy nie wdawała się w żadne badania, zato zawsze była pod ręką, kiedy usługi jej mogły się przydać. I obecnie natychmiast pobiegła po atrament i uwalniła go natychmiast od zadumy przy pomocy swych łokci, dając mu tęgi szturchaniec, którym rozbudziła świadomość i energię.

Jak człowiek, któremu rzadko zdarzało się mieć do czynienia z piórem i atramentem, Briten



obawiał się skompromitować, podpisując się na dokumencie nie przez siebie sporządzonym, czy czasem nie wyrzeknie się przez podpisanie jakichś praw mu przynależnych. Odważył się przystąpić do dokumentów dopiero po namowach doktora i prosił, aby mu dozwolono obejrzeć papiery, których haczykowaty charakter pisma, nie mówiąc już o zawikłanym stylu, wydawał mu się czemś w rodzaju hieroglifów; przewracał je, chcąc się przekonać, czy nie ma czegoś podejrzanego na odwrotnej stronie, a podpisawszy, zaniepokoił się. Portfel, kryjący papiery, przybrał w jego oczach jakiś tajemniczy interes i nie mógł się od niego oderwać. Klemensi Niukom wzbiła się w dumę, myśląc o swem znaczeniu, rozparła się oboma łokciami na stole, jak orzeł z rozłożonemi skrzydłami i skłoniła głowę na lewe ramię. Na swoje bazgroły zużyła moc atramentu, a podpisując nazwisko, wykonywała językiem takie same ruchy, jak piórem. Potem owładnęła nią żądza pisania. Podobnie jak u tygrysa, który zasmakował we krwi, budzi się jej pragnienie, tak Klemensi chciała wszędzie i wszystko podpisywać. Wreszcie zdjęto z doktora obowiązek opieki, a Alfred uzyskał prawo samodzielnego wstąpienia w życie i rozporządzania swem mieniem.

— Briten — polecił doktor — idź do bramy i pilnuj pocztowej karety. Czas ucieka, Alfredzie.

— Tak, tak, panie — odpowiedział młody człowiek. — Droga Grez! Jedną chwilę! Marion taka młoda, taka miła i czarująca. Kocham ją ponad wszystko w świecie. Pamiętaj o niej, tobie ją polecam.

— Zawsze uważałam opiekę nad nią za swój święty obowiązek; teraz będzie dla mnie stokroć droższą. Nie zawiodę twego zaufania i świecie dopełnię obietnicy.

— O tem jestem przekonany, Grez. Czyż można nie wierzyć ci, patrząc w twoją twarz i słysząc twój głos! Droga Grez, gdybym miał twój wyrobiony charakter i siłę woli, z mniejszą trwogą opuszczałbym wasz dom!

— Gdyby? — spytała ze spokojnym uśmiechem.

— Cokolwiek będzie, chciałbym cię uważać za siostrę swoją, Grez.

— Zgoda. Zawsze nazywaj mnie tem imieniem.

— Otóż, siostro moja — rzekł Alfred — dla mnie i dla Merion lepiej, że ty, nie ja posiadasz te zalety. Nawet gdybym mógł, nie odebrałbym ci ich.

— Kareta na pagórku — oznajmił Briten.

— Czas ucieka, Alfredzie — rzekł doktor.

Merion smutna stała dotychczas w pobliżu; usłyszawszy słowa doktora, młodzieniec delikatnie wziął ją za rękę i oddał siostrze.

— Mówiłem Grez, droga moja Merion — rzekł — że odjeżdżając, powierzam cię jej jak swój skarb. Kiedy wrócę i wezmę cię z powrotem, przed nami odsłoni się świetlista dal szczęśliwego małżeńskiego pożycia, wówczas naszym głównem zadaniem będzie troska o szczęście Grez; powinniśmy uprzedzać jej życzenia, starać się okazać jej wdzięczność i odplacić choć w części za troskliwość, jaką nas otaczała.

Jedną ręką Merion spoczywała w rękę Alfreda, drugą otoczyła szyję siostry. Patrzyła w oczy Grez, ciche, jasne i spokojne z wyrazem, w którym łączyła się miłość i ból i podziw, dochodzący do uwielbienia. Twarz siostry wydawała się jej świętem, anielskim obliczem. Grez łagodnie spoglądała na Merion i jej narzeczonego.

— A potem, kiedy nastanie czas... — ciągnął Alfred — dziwię się, że to nie nastąpiło wcześniej, o czem zresztą Grez wie lepiej, kiedy zechce oddać się całemu sercem miłemu, wtedy będziemy szczęśliwi, widząc, że nasza droga siostra kocha i jest kochaną tak, jak na to zasługuje. I wtedy będziemy dla niej tem, czem ona dla nas zawsze była!

Merion, nie odrywając oczu od siostry, nie zwracała się do Alfreda.

— A kiedy postarzejemy się, będziemy żyli wszyscy razem, inaczej nie da się pomyśleć i będziemy wspominali przeszłość, a szczegól-

— Mówiłem Grez, droga moja Merion — rzekł — że odjeżdżając, powierzam cię jej jak swój skarb. Kiedy wrócę i wezmę cię z powrotem, przed nami odsłoni się świetlista dal szczęśliwego małżeńskiego pożycia, wówczas naszym głównem zadaniem będzie troska o szczęście Grez; powinniśmy uprzedzać jej życzenia, starać się okazać jej wdzięczność i odpłacić choć w części za troskliwość, jaką nas otaczała.

Jedna ręka Merion spoczywała w ręce Alfreda, drugą otoczyła szyję siostry. Patrzyła w oczy Grez, ciche, jasne i spokojne z wyrazem, w którym łączyła się miłość i ból i podziw, dochodzący do uwielbienia. Twarz siostry wydawała się jej świętem, anielskiem obliczem. Grez łagodnie spoglądała na Merion i jej narzeczonego.

— A potem, kiedy nastanie czas... — ciągnął Alfred — dziwię się, że to nie nastąpiło wcześniej, o czem zresztą Grez wie lepiej, kiedy zechce oddać się całem sercem miłemu, wtedy będziemy szczęśliwi, widząc, że nasza droga siostra kocha i jest kochaną tak, jak na to zasługuje. I wtedy będziemy dla niej tem, czem ona dla nas zawsze była!

Merion, nie odrywając oczu od siostry, nie zwracała się do Alfreda.

— A kiedy postarzejemy się, będziemy żyli wszyscy razem, inaczej nie da się pomyśleć i będziemy wspominali przeszłość, a szczegó-

nie ten czas i ten właśnie dzień rozstania — mówił Alfred — będziemy zwierzali się jedno drugiemu, co każde z nas myślało, co czuło wtedy, czego się spodziewało i czego obawiało, a nikt z nas nie chciał pierwszy wymówić słów pożegnania.

— Kareta w lesie! — krzyknął Briten.

— Jestem gotów!... I jakeśmy się następnie znowu zeszli. Dzień ten będzie najszcześliwszym dniem i będziemy go zawsze uroczysto obchodzili. Nieprawdaż droga?

— Tak, tak! — przerwała mu Grez z anielskim uśmiechem. Tak, Alfredzie; ale nie zwlekaj. Czas uchodzi. Żegnaj się z Merion i szczęśliwej podróży!

Objął Merion, lecz ona uwolniła się z jego objęcia i znowu przytuliła się do siostry, patrząc na nią z tym samym wyrazem miłości i bólu.

— Żegnaj, przyjacielu! — rzekł doktor. — Nie będziemy rozprawiali obecnie o pisaniu listów, stałości uczuć lub o tym podobnych głupstwach, w takim ha, ha, ha! — no rozumiesz, co chcę powiedzieć, wszystko to drobnostki. Powiem jedno: jeżeli ty i Merion żywicie to nieodzowne pragnienie, to nie mam nic przeciw temu, aby w przyszłości nazwać cię moim zięciem.

— Kareta na moście! — oznajmił Briten.

— A więc! — powiedział Alfred, silnie ściskając rękę doktora. — Wspomnij o mnie, drogi

przyjacielu i dobroczyńco, o ile możesz, poważnie. Do widzenia panie Snitczy, do widzenia panie Kreggs.

— Kareta zajeżdża! — krzyczał Briten.

— Pocałujmy się na pożegnanie ze względu na dawną znajomość, Klemensi! Briten daj rękę! Merion, droga, żegnaj! Grez, siostrze, nie zapomnij!

Spokojna i piękna w swoim wyrazie twarzy Grez była zwrócona ku niemu. Merion nie zmieniła pozycji.

Kareta zatrzymała się u bramy. Zaczęto się krzątać, podano багаż. Kareta ruszyła. Merion nie drgnęła.

— Żegna cię ręką, kochana — powiedziała Grez. — Popatrz, oto on!

Merion podniosła głowę, spojrzała i natychmiast zwróciła się ku siostrze. Po raz pierwszy wzrok jej spotkał się ze spokojnymi oczyma siostry i zanosząc się od płaczu, padła jej na piersi.

— Boże mój, Grez! Nie mogę na to patrzeć, serce mi pęka!

=====

CZĘŚĆ II.

Snitczy i Kreggs mieli niewielki, skromny kantor na Starem Bojowym Polu i w nim dokonywali różnych dogodnych transakcyi i staczali walki w interesach licznych klientów. Sprawy zwyczajnie szły zółwim krokiem, ale to nie wzruszało bynajmniej spółników; to napadali na jakiegoś oskarżyciela, to ostrzegali jakiegoś oskarżonego, to puszczali się do ataku na mienia, powierzone w opiekę. Przy dogodnej sposobności nie gardzili i małemi utarczkami z nieregularną armią drobnych dłużników, szczególnie jeśli nieprzyjaciel występował w otwartem polu. Gazety stanowiły dla nich wygodną odsiecz, jak to bywa i przy bardzo żywych wojennych operacyach. Po ukończeniu walki, którą kierowali dwaj spółnicy, walczące strony musiały zeznać, że nie tylko nie mogły prawidłowo sądzić o rezultatach potyczki, ale też nie widziały się wzajemnie z poza grubego, otaczającego ich ze wszystkich stron, dymu.

Drzwi kantoru panów Snitczego i Kreggsa były zawsze gościnnie otwarte i wychodziły na rynek. Gabinetem przyjąć a zarazem i porad była stara izba na drugim piętrze, z niskiem, okopconem sklepieniem, jak gdyby ponuro zachmurzonym w zadumie nad zawikłanym stosem praw. Wzdłuż ścian stały krzesła z wysokimi oparciami, obite skórą i obramowane rzędem miedzianych gwoździ, miejscami wypadłych, po dwa, po trzy, a może nieświadomie wydłubanych palcami zbitych z tonu klientów. Na ścianie w ramach drzeworyt wyobrażał jakiegoś znakomitego sędziego, a na widok każdego pukła na jego strasznej peruce dusza zamierała ze strachu. Akty pakami zajmowały zapyłone półki i stoły, na podłodze i pod ścianami stały zamknięte ogniotrwałe skrzynki z oznaczeniem imion i nazwisk. Nazwiska te zawsze zwracały na siebie uwagę rozstrojonych interesentów, którzy czytali je, jakby z nakazu złego losu i układali z nich horoskopy, słuchając niezrozumiałych wyjaśnień adwokatów.

Snitczy i Kreggs byli towarzyszami w zawodzie, ale każdy z nich miał w swem domowym życiu towarzyszkę — żonę. Mężczyźni byli przyjaciółmi i najzupełniej ufali sobie, jednak pani Snitczy, jak to często się zdarza w życiu, od samego początku podejrzewała pana Kreggsa, a pani Kreggs nie lubiła pana Snitczy. „Już ci

twoi Snitczowie — mawiała swemu mężowi, używając liczby mnogiej, na znak lekceważenia, jakby to chodziło o jakieś spodnie, albo inny przedmiot, nie mający liczby pojedynczej — cóżes ty w nim takiego znalazł? Tak mu zupełnie wierzysz! Daj Boże, aby moje słowa się nie sprawdziły!“ A pani Snitczy ostrzegała przed Kreggsem, mówiąc, że pan Snitczy idzie po fałszywej drodze, dzięki swemu spółnikowi, a ten prowadzi podwójną grę. Wystarczy spojrzeć mu w oczy. Jednakże to nie zakłócało dobrego pożycia wszystkich czworga. Pani Snitczy i pani Kreggs solidarnie występowały przeciw kantorowi, uważając go za wspólnego wroga, grożącego nieznanem niebezpieczeństwem.

A jednak w tym kantorze Snitczy i Kreggs jak pszczoły zbierali miód do swych ulów. Czasem zdarzało im się pracować u okna gabinetu, w jasne wieczory, spoglądając na Stare Bojowe Pole, częściej jednakże podczas sesji sądowych ogarniała ich rzewność wskutek nadmiernego nawału czynności. Dziwili się brakowi rozwagi u ludzi, którym nie chce się siedzieć spokojnie; a jeśli już trzeba się procesować, to przynajmniej procesować się wygodnie! Tak przechodziły dni, tygodnie, miesiące i lata; za wskaźnik czasu służyły wciąż ubywające gwoździki na skórzanych krzesłach i rosnące stosy aktów na stołach i półkach. Od chwili opisanego przez nas śniadania minęły prawie trzy lata,

znacznie zmniejszając liczbę pierwszych, a zwiększając objętość drugich.

Pewnego wieczora adwokaci zeszli się w kantorze na narady; nie byli sami, przed nimi na krześle siedział dobrze zbudowany, piękny mężczyzna, lat około trzydziestu, ubrany niedbale, lecz z pretensją, założywszy jedną rękę za kamizelkę, drugą zaś gładząc swe włosy. Wydawał się bardzo stroskanym. Pan Snitczy i Kreggs siedzieli obok przy biurku, a jedna z ogniotrwałych skrzynek stała przed nimi otwarta. Przechowywane w niej akta częścią leżały przed nimi na stole, częścią przechodziły przez ręce pana Snitczy. Zbliżał każdy dokument do świecy, przeglądał go i podawał, kiwając głową, panu Kreggsowi; ten ze swej strony także przebiegał go oczami i kiwając głową, składał na biurku. Od czasu do czasu przerywali zajęcie, spoglądali jeden na drugiego, kiwali głowami i patrzyli na klienta, pogrążonego w mrocznej zadumie. Na skrzynce było napisane Michał Warden, esquire; widocznie nazwisko i skrzynka należały do niego, a interesy pana Michała Wardena były w bardzo opłakany stanie.

Ot i koniec — rzekł pan Snitczy, podając ostatni dokument. — Środków niema żadnych.

— Wszystko stracone, zastawione, zajęte i sprzedane? — zapytał klient.

— Wszystko — odpowiedział pan Snitczy.

— I mówi pan, że nic nie da się już zrobić?

— Prawie nic.

Klient zaczął przygryzać paznogie i pogrążył się w myślach.

— A nadto, jak panowie uważacie, mnie samemu niebezpiecznie pozostawać w Anglii? Czy nie tak?

— W żadnym z miast złączonych królestw Wielkiej Brytanii i Anglii — odpowiedział Snitczy.

— Zatem nie jestem niczem innym, jak marnotrawnym synem; tylko, że nie mam ojca, do którego domu mógłbym wrócić, ani świń, które mógłbym paść, aby karmić się ich strawą! Czy tak? — ciągnął klient, kiwając nogą i patrząc uporczywie w podłogę.

Pan Snitczy zakaszał, jakby odsuwając od siebie choćby pozór współczucia dla takiego allegorycznego porównania w sprawach prawnych. Pan Kreggs, pragnąc wyrazić solidarność, kaszlnął także.

— Zrujnowałem się, choć mam dopiero trzydzieści lat — rzekł klient.

— Nie, panie Warden, jeszcze się pan nie zrujnowałeś — odpowiedział Snitczy — choć, prawdę mówiąc, zrobiłeś pan ze swej strony, coś mógł. Jeszcze sprawa nie tak beznadziejna i jeżeli zajmiesz się swymi interesami —

— Do dyabła z nimi!

— Panie Kreggs — rzekł Snitczy — może tabaczki?

— Dziękuję panu. Adwokat z niezamąconym spokojem powoli podniósł szczyptę do nosa i z zadowoleniem zażył. Twarz klienta stopnioworozjaśniała się i zapytał już z uśmiechem.

— Wieleż czasu, pańskim zdaniem potrzeba do poprawienia interesów?

— Wiele czasu? — powtórzył Snitezy, strząsając z palców tabakę i czyniąc w myśli obliczenia. Do poprawienia pańskich zabagnionych interesów w odpowiednich rękach, na przykład w rękach Snitczego i Kreggsa? No, ze sześć, siedm lat.

— Ależ za sześć, siedm lat można umrzeć głodową śmiercią, mój panie! — zawołał gniewnie klient, niecierpliwie zmieniając pozę.

— Byłoby o tyle inaczej, panie Warden, że mógłbyś pan znaleźć sobie miejsce i pokazywać się za pieniądze. Nie sędzę jednakże, żeby się panu to udało, mówię za siebie i za Kreggsa, to też tego panu nie radzę.

— Cóż waszem zdaniem mam robić i co mnie radzicie?

— Już mówiłem, że trzeba się zająć swymi interesami. W dobrych rękach, moich i Kreggsa, szybko przyjdą do właściwego porządku. Ale na to, abyśmy mogli dopełnić zobowiązania, a pan je przyjąć, musi pan na ten czas wyjechać za granicę. Głodową śmiercią pan nie umrze, bo zapewnimy panu kilkaset funtów rocznie. Oto, co panu radzę, panie Warden.

— Kilkaset! — zawołał klient. — Przywykłem tracić tysiące.

— To — odpowiedział pan Snitezy, stannie układając akta w żelazem okutą skrzynkę — nie podlega najmniejszej wątpliwości, panie Warden; naj—mniej—szej, — powtórzył do siebie, wykonując swą czynność.

Widocznie adwokat dobrze znał swego klienta; jego markotne usposobienie znikło. Pod wpływem urzędowego tonu i suchego przedstawienia rzeczy przez pana Snitezy wrócił do równowagi. A może i klient ze swej strony wiedział, z kim ma do czynienia i użył takiego wybiegu, aby tem łatwiej wyjawic ukrytą myśl. Jakkolwiek było, ożywił się nieco, popatrzył na swego groźnego sąsiada z uśmiechem a w końcu roześmiał się głośno.

— Tak, czy inaczej, mój nie dający się przekonać przyjacielu, — zaczął, — ale Snitezy wskazał swego towarzysza:

— Wybacz pan — przerwał — ja i Kreggs.

— Przepraszam, panie Kreggs. A więc, moi nie chcący się przekonać przyjaciele — rzekł przechylając się naprzód i zniżając głos — nie znacie wy i połowy mej biedy.

Pan Snitezy i jego przyjaciel, milcząc, spojrzeli na niego.

— Nie tylko jestem po uszy w długach — wyjawiał klient, — ale i po uszy . . .

— Zakochany! — odgadł Snitezy.

— Tak jest, rzeczywiście — odpowiedział klient, kładąc ręce do kieszeni, opierając się o poręcz i patrząc prosto w oczy zwierchnikowi firmy „Snitczy i Kreggs“. — Tak jest, zakochałem się.

— W bogatej dziedzicze? — spytał Snitczy.

— Nie, nie w bogatej dziedzicze.

— No więc poprostu w bogatej osobie?

— Nie, w bogatej, o ile mnie wiadomo, tylko pięknnością i przymiotami duszy.

— A czy przynajmniej w panience? — za-
pytał porozumiewająco Snitczy.

— O, tak! — odrzekł klient.

— Poczekajno pan, czy to nie która z córek doktora Dzeddlera? — dopytywał się Snitczy, opierając się łokciami na kolanach i wyciągając naprzód szyję.

— Tak! — odpowiedział klient.

— Ale nie młodsza? — badał Snitczy.

— Panie Kreggs — rzekł Snitczy z ulgą na sercu — pozwól tabaczki; dziękuję. Bardzo rad, panie Warden, że z tego nic nie może być; ona już wyswatana, panie, już — narzeczona. Mój towarzysz może to panu poświęcić; dobrze nam to wiadome.

— Może i mnie to wiadome — oświadczył klient spokojnie. — Ale cóż z tego? Obracając się w świecie, czyście nie słyszeli, iżby panna namyśliła się i odmówiła?

— Rzeczywiście, zdarzają się wypadki naruszenia słowa i u dziewic i u wdów, lecz w przeważnej części wypadków, prawo...

— Prawo! — niecierpliwie przerwał klient — Któż mówi o tem! Podobne zdarzenie nie-rzadkie w życiu, a to ważniejsze od wszystkich przepisów prawnych. I dla tego niedarmo przeżyłem sześć tygodni w domu doktora.

— Zdaje mi się — rzekł dobitnie Snitczy, zwracając się do swego towarzysza — że ze wszystkich nieszczęść, które na pana Wardena sprowadziły jego konie, a było ich niemało i wiele złego mu przyniosły, o czem my wiemy, to ostatnie może okazać się najgorszem, o ile się jeszcze nie namyśli. Kiedy jeden z jego koni zrzucił go obok domu doktora z trzema złamanymi żebrami, zgruchotanym obojczykiem i z Bóg wie wieloma uszkodzeniami i kiedy wreszcie, dzięki staraniom doktora, zaczął przychodzić do siebie, nikomu w domu nie przychodziło na myśl, jakie mogą wyniknąć z tego skutki! A teraz ta sprawa zaczyna przybierać fatalny obrót, panie, fatalny! Doktor Dzeddler jest przecież naszym klientem!

— A i pan Alfred Gitfild także, panie Snitczy — dodał pan Kreggs.

— Ale i pan Michał Warden, o ile mi wiadomo, po części także jest waszym klientem — powiedział spokojny gość — a przytem, nie gorszym, bo żył lekkomyślnie przez całych

dziesięć, czy dwadzieścia lat — i oto tutaj złożone trofea w tej skrzynce. A teraz przyznał się do winy, przyrzekł się poprawić i ustakować. Zamierza, o ile się to uda, ożenić się z czarowną Merion, córką doktora Dzeddlera i wywieźć ją ze sobą za granicę.

— Naprawdę, panie Kreggs — chciał mówić Snitczy.

— Naprawdę, panie Snitczy i panie Kreggs razem — uprzedził go klient — znacie swoje obowiązki pełnomocników i wiecie, że czynności, dotyczące serca, was nie dotyczą. A mnie podobało się was wtajemniczyć i w te sprawy. Przecież nie myślę porywać dziewczęcia wbrew woli, i dlatego niema tu nic niezgodnego z prawem. Nigdy nie byłem przyjacielem pana Gitfilda i zaufania jego nie naruszam. Mamy wspólny przedmiot miłości, a ja staram się cel osiągnąć, ot i wszystko.

— To niemożliwe, panie Kreggs — rzekł Snitczy, widocznie przestraszony — to absolutnie niemożliwe. Przecież ona zakochana w Alfredzie.

— Czyżby tak?

— Panie Kreggs, wszak prawdę mówię: ona zakochana w nim — twierdził Snitczy.

— Nie darmo przeżyłem sześć tygodni w domu doktora parę miesięcy temu i mocno podejrzewam jej miłość ku Alfredowi. Być może, że nie ochłodziłaby, gdyby się udały starania

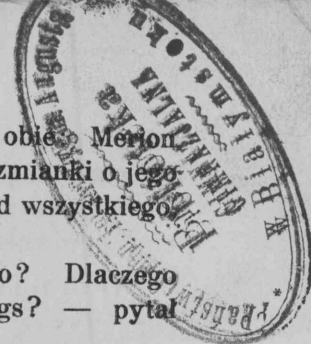
starszej siostry. Obserwowałem obie. Merion unika rozmowy o nim, a nawet wzmianki o jego nazwisku; ona widocznie stroni od wszystkiego, co przypomina ów stosunek.

— Dlaczego, panie, dlaczego? Dlaczego miałyby zapomnieć, panie Kreggs? — pytał Snitczy.

— Nie wiem, dlaczego napewno — odpowiedział klient z uśmiechem, patrząc na osłupienie adwokata, który chciał o wszystkim dokładnie się przekonać — jednakże znam się na tem. Była jeszcze zbyt młoda, kiedy dała słowo, a może wcale go nie dawała; potem mogła rozważyć. Mówię nie dla przechwałki, dlażegoby nie miała się zakochać we mnie, tak jak ja się w niej zakochałem?

— Jakże to możliwe! Pan Alfred jest jej przyjacielem od dzieciństwa! Przecież wiesz pan o tem, panie Kreggs? — mówił Snitczy, starając się ukryć wrażenie.

— Tem pewniej musiał się już jej sprzykrzyć — spokojnie ciągnął klient — i ona nie od tego, aby go zmienić na nowego wielbiciela, z którym ją zetknął los, a właściwie koń — przy romantycznym spotkaniu. W oczach wiejskiej panienci reputacya wesołego, bez troski młodzieńca, który nikomu nigdy w życiu zła nie wyrządził, może wzbudzić prawdziwe zainteresowanie, przydajcie do tego młodość, szczęśliwy wygląd i tak dalej — panowie zaraz



pomyślicie, że to samochwalstwo, ale naprawdę nic podobnego nie mam na myśli, — a będziecie musieli przyznać, że z korzyścią mogę wytrzymać porównanie nawet z panem Alfredem.

O to trudno się było spierać i pan Snitczy, popatrzywszy na klienta, musiał się z tem zgodzić. W samej niedbałości jego manier była jakaś wrodzona elegancja; piękna twarz i dobrze zbudowana postać mogły być jeszcze bardziej pociągające, o ileby zechciał. Taki człowiek, poważnie zabrawszy się do dzieła, mógłby go dokonać.

— Niebezpieczny uwodziciel — zdecydował przenikliwy adwokat — on robi swoje.

— A teraz uważaj, Snitczy — rzekł klient, wstając i biorąc go za guzik — i Kreggs — biorąc go również za guzik i stając między nich tak, aby żaden nie mógł się uchylić — nie proszę was zupełnie o radę. W podobnych sprawach nie wypada brać udziału takim poważnym ludziom, to też możecie trzymać się na boku. Postaram się naprawić wszystko, co się tyczy mojego obecnego położenia i planów na przyszłość, a wam pozostawię najlepiej uporządkowanie moich pieniężnych spraw. I jeśli uda mi się ożenić ze śliczną córką doktora, jak się spodziewam i stać się innym człowiekiem pod jej dodatnim wpływem, będę miał większe wydatki, aniżeli gdybym sam wyje-

chał; jednak skoro zmienię tryb życia, spodziewam się, że szybko wrócę do równowagi.

— Nie, lepiejby nam tego nie słyszeć, panie Kreggs? — rzekł Snitczy, patrząc na niego z poza klienta.

— Ja także tak myślę — odpowiedział Kreggs. Jednakże obaj słuchali z natężoną uwagą.

— Możecie nie słuchać, ale ja dokończę. Prosić o zezwolenie doktora nie myślę dlatego, że nie spodziewam się go otrzymać. Złego mu nic nie uczynię, owszem, chcę uwolnić córkę jego, moją Merion od niemiłego spotkania z narzeczonym: boi się jego powrotu i oczekuje z przykrością. Oprócz tego, doktor przekonany, że wszystko to głupstwo i nie niema w życiu poważnego. Jak widzicie, dotychczas jeszcze nikt na tem nic nie traci. Jakież jest jednak moje położenie? Muszę ukrywać się przed prześladowaniem i żyć jak wygnaniec, pozbawiony prawa wstąpienia na własną ziemię i wejścia do swego domu. Ale według waszego przekonania, za lat dziesięć — jestem gotów wam wierzyć — wszystkie moje posiadłości powinny wrócić do mnie, a Merion, jako moja żona, będzie bogatszą, niżby nią była, wychodząc za Alfreda Gitfilda. Co się zaś tyczy mojej miłości, nie boję się porównania z Alfredem. Powiedźcie zatem, kto jest poszkodowany? Według mnie nikt; sprawa ta bez

wątpienia jasna i uczciwa. Prawa nasze równe, przecież wybiera sama Merion, poddaję się jej rozstrzygnięciu. Skończyłem, teraz wam wiadomo wszystko, co zamierzam uczynić i wszystko, czego się spodziewam. Kiedy powinienem stąd wyjechać?

— Za tydzień — rzekł Snitczy. — Jak myślisz, panie Kreggs?

— Jabym powiedział, że jeszcze wcześniej — odpowiedział Kreggs.

— Za miesiąc — rozstrzygnął klient, badawczo patrząc w twarz adwokatowi. — Również za miesiąc. Dziś czwartek. Niech się stanie, co chce, za cztery tygodnie we czwartek wyjeżdżam!

— To trochę za długo — rzekł Snitczy — trochę za długo, panie; zresztą — niechże i tak będzie. Myślałem, że powie, iż za trzy miesiące — mruczał przez zęby. — Już pan ucieka? Dobranoc panu.

— Dobranoc! — odpowiedział klient, ściskając im ręce. Zobaczycie, że bogactwa moje pójdą jeszcze na dobre, kiedy Merion stanie się gwiazdą przewodnią mego życia.

— Ostrożnie niech pan schodzi ze schodów — zawołał Snitczy — bo gwiazda pańska tam nie świeci. Dobranoc panu!

— Dobrej nocy!

Obaj towarzysze, ze świecami w rękach, poczekali na schodach, dopóki nie zeszedł. Kiedy już zniknął, popatrzyli na siebie.

— Cóż powiesz na to, panie Kreggs? — zapytał Snitczy.

Ten wrzucił głowę.

— Czy pamiętasz, jak w dzień odjazdu po ukończeniu formalności Alfred dziwnie się zegnał?

— Jakże, pamiętam — odpowiedział Kreggs.

— Może się myli — ciągnął Snitczy, zamykając ogniotrwałą skrzynkę i kładąc ją na miejsce — a jeśli nie, to znaczy, że się zmieniła — czegoż się na świecie nie spotyka! A ja uważałem tę dziewczynę za otwartą i szczerą. Zdawało mi się także — mówił pan Snitczy, wkładając palto i rękawiczki (pora była chłodna) i gasząc jedną świecę — że charakter jej przez ten czas zupełnie się rozwinie i stanie się podobnym do charakteru jej siostry.

— Tegoż zdania i ja — odpowiedział pan Kreggs.

— Czegożbym nie dał — rzekł pan Snitczy, człowiek istotnie dobroduszny — aby pan Warden zawiódł się w swem obliczeniu. Nie bacząc na swą lekkomyślność, powinienby poznać ludzi, zapłaciwszy drogo za tę naukę; nie chce mi się w to wierzyć. Lepiej nam się w to nie mieszać; naszą rzeczą klient; no i pomódz trudno.

— Trudno, trudno.

— Przyjaciół nasz, doktor Dzeddler, lekko patrzy na sprawę — rzekł pan Snitczy, kiwając

głową. — Spodziewać się możemy, że nie wypadnie mu uciekać się po pociechę do cudzej filozofii. Nasz młody przyjaciel rozprawia o walce życia, daj Boże, aby nie wyszedł z niej zwyciężonym! . . . Wzięłeś kapelusz, panie Kreggs? Gaszę drugą świecę. —

Pan Kreggs dał twierdzącą odpowiedź, a Snitczy zgasił świecę. Adwokaci wyszli po omacku z gabinetu porad, obecnie tak ciemnego, jak sporne sprawy, a nawet samo prawo.

Przenieśmy się obecnie do małego, cichego gabinetu starego doktora, gdzie obie siostry tego wieczoru siedziały z ojcem u płonącego kominka. Grez pracowała, Merion czytała głośno. Stary doktor w szlafroku i pantoflach, nogi położywszy na sofie, siedział w krześle i słuchając czytania, lubował się swemi córkami.

Obie panienki były zachwycające; jakby przeznaczone do radości małżeńskiego pożycia. W ciągu tych trzech lat wiele się w nich zmieniło. W twarzy i głosie Merion widniała powaga, jaka już dawniej cechowała jej siostrę. Merion i obecnie była piękną i wydawała się piękniejszą od Grez; jak niegdyś, tak i teraz szukała opieki i pociechy u łona starszej siostry i w jej wzroku spokojnym, jasnym i pełnym miłości.

„Żyjąc w domu rodzinnym — czytała Merion — z którym łączyło ją tyle drogich wspomnień, zrozumiała, że wkrótce nastąpi dla niej

ciężka próba, której nie podobna usunąć. O! dom rodzicielski jest dla nas pocieszycielem i przyjacielem we wszystkich niedolach! Jak ciężką jest z nim rozłąka w ciągu całego życia, od samej kolebki aż do grobu....“

— Merion, serce moje! — rzekła Grez.

— Co ci jest córeczko? zapytał ojciec.

Merion położyła swą rękę na ręce siostry i przerwała czytanie; starała się zapanować nad sobą, ale głos jej drżał i rwał się.

— „Jak ciężką jest z nim rozłąka w ciągu całego życia od kolebki aż do grobu! Wierny nasz przyjacielu, jak często ciebie nie doceniamy; Miałebyś być względny, kiedy cię opuszczamy i miałebyś nie ganić nas za fałszywy krok! Na bok z uśmiechem i łaskawem spojrzeniem! Nie trzeba pobbżania i pożegnań! Popatrz surowo — i nie szczędząc, osądź!“....

— Droga Merion, może lepiej nie czytaj! rzekła Grez, widząc jej łzy.

— Nie jestem w stanie dokończyć — odpowiedziała, zamykając książkę, Merion. — Każde słowo pali mnie jak ogień!

Doktorowi wydało się to dość zabawnem, pogłaskał córkę po głowie.

— Czyż ciebie rozstroiła tak ta powiastka? — zapytał doktor Dzeddler. — Przecież to tylko zadrukowany papier! Dosyć, przestań już, przypuśćmy, że można poważnie zapatrywać się i na zadrukowany papier. Dość płaczu, moja

droga, dosyć! Z pewnością bohaterka już dawno wróciła do domu i wszystko skończyło się jak najlepiej, a choćby i nie, to czemuż w rzeczywistości jest dom rodzicielski? Cztery ściany tylko; a co tam sobie wymyślają, o to mniejsza... Kto tam?

— To ja, panie — rzekła Klemensi, wsuwając głowę przez drzwi.

— Co się stało? — zapytał doktor.

— Nic, chwała Bogu — odpowiedziała Klemensi z rozjaśnionem dobronie obliczem, wyraz którego wynagradzał brak piękności. Szramy na łokciach nie dodają wdzięku, ale lepiej przebyć drogę życia z podrapanymi łokciami a zachować dobre obyczaje, pod tym względem Klemensi mogła rywalizować z najpiękniejszą w okolicy.

— Niczego mi nie trzeba, panie — rzekła Klemensi — ale może pan będzie łaskaw wyjść na chwilkę.

Doktor nie bez zdziwienia usłuchał prośby.

— Pan sam nie kazał dawać tego przy nich — objaśniła Klemensi.

Człowiek, nie wtajemniczony w sprawy rodzinne, mógłby pomyśleć z powodu jej usilnych znaków i jakichś dziwnych poruszeń łokci, któremi zdawało się, że chce się objąć, iż przez słowo „tego“ myślała co najmniej o skromnym pocałunku. Nawet i sam doktor z początku dziwił się, a zrozumiał o co chodzi

dopiero wówczas, kiedy Klemensi, przerzuciwszy kilka razy swoje kieszenie, wreszcie znalazła list.

— Briten, przejeżdżając koło poczty, kiedy wracał za sprawunkami, zobaczył nadchodzącą karetkę — rzekła, zanosząc się od wesołego śmiechu i podając doktorowi list. — Zaszedł i doczekał się rozdania. Patrz pan oto A. G. na kopercie. Pan Alfred wraca! Będzie u nas wesele, dziś rano znalazłam dwie łyżeczki na talerzyku, to pewny znak. Panie, jakże można tak wolno rozpieczętowywać?

Monolog ten wygłosiła, podnosząc się coraz wyżej i wyżej na palcach i płonąc niecierpliwością poznania treści listu. Zasłoniła usta fartuchem. Ciekawość doszła do najwyższych granic, a doktor wciąż jeszcze z uwagą czytał list. Nie mogąc dłużej wytrzymać, opuściła się na stopy i cicho oczekiwała, zakrywając twarz fartuchem, jakby woalem.

— No dzieci! — wreszcie zawołał doktor. — Nie mogę dłużej milczeć. Nie mogłem nigdy w życiu zachować tajemnicy! A wiele jest takich rzeczy, które należałoby ukryć, w tych... no, wszystko jedno! Alfred wraca do domu i wkrótce tu będzie, moje drogie!

— Wkrótce będzie? — powtórzyła Merion.

— Już zapomniałaś o powieści? — rzekł doktor i wziął ją pod brodę. — Byłem pewny, że ta wiadomość osuszy twoje łzy. Prosił, aby

przybycie jego było niespodzianką, ale nie mogłem ukryć. Trzeba przygotować się na jego przyjęcie.

— A prędko będzie? — pytała znowu Merion.

— Może nie tak prędko, jakbyś tego sobie życzyła, ale w każdym razie obliczymy: dziś czwartek; będzie prawdopodobnie akurat za cztery tygodnie we czwartek.

— Za cztery tygodnie — cicho szepnęła Merion.

— Szczęśliwy dzień, uroczystość zdawna pożądana nastąpi wreszcie — wesoło rzekła Grez, całując siostrę.

Merion odpowiedziała jej bolesnym uśmiechem. Z miłością patrzyła na siostrę, słyszała jej łagodny głos, mówiący o przyszłym spotkaniu i wzrok jej zwolna rozjaśniał się radością i nadzieją.

Przeglądało w nim jeszcze coś, czemu trudno nadać nazwę. Nie było to upojenie, ani tryumf lub uniesienie — uczucia te nie objawiają się tak spokojnie. I nie tylko miłość i wdzięczność wzbudziły to uczucie, choć miłość i wdzięczność wywołały je, uwolniwszy od zmysłowych pobudek. Oczy jej płonęły a drżące wargi przejawiały silne duchowe wzburzenie.

Doktor Dzeddler, mimo swej filozofii, której i tak musiał często w praktyce odstępować i wyrzekać się (co zdarzało się i największym

filozofom) nie mógł nie zainteresować się powrotem swego wychowanka, choćby to nawet nie było w rzeczy samej niczem poważnem. Usiadł znowu na poprzednim krześle u kominka, czytając list i rozważając go.

— Pamiętasz, Grez — mówił, patrząc z roztargnieniem na żarzące się węgle — jak bywało, chodziliśmy pod rękę z Alfredem, jak dwie lalki, kiedy przyjeżdżał do nas na święta? Pamiętasz?

— Pamiętam — odrzekła z uśmiechem, nie odrywając się od zajęcia.

— Akurat za cztery tygodnie! — rozmyślał doktor, — jak to czas leci, zdaje mi się, że od tej chwili nie minęło więcej niż rok! Co wtedy jeszcze robiła nasza malutka Merion?

— Z pewnością była tam, gdzie i siostra — swobodnie odpowiedziała Merion. — Byłam sama jeszcze dzieckiem, Grez była dla mnie wszystkim.

— Prawda, córeczko, prawda! — rzekł doktor. — Była dla nas zawsze rozumną dziewczynką i doskonałą, troskliwą gosponią, wyrosła już ze spokojnym i wyrobionym charakterem i zawsze umiała przystosować się do naszych kaprysów, uprzedzać nasze życzenia, zapominając o sobie. Nie widziałem u ciebie, Grez, ani egoizmu, ani kaprysów, z jednym tylko wyjątkiem.

— Boję się, że straszniem się zmieniała na gorsze — odpowiedziała Grez, śmiejąc się i zaczynając żywiej pracować. — Jakż to wyjątek, ojczy?

— Oczywiście Alfred — odpowiedział doktor — zawsze chciałaś, aby nazywano cię jego żoną i trzeba było ustąpić. Jeśliby los się zmienił, zdaje się, że nie pomieniałabyś tego tytułu na tytuł hrabiny, czyżto nie dziwne!

— Rzeczywiście dziwne — spokojnie odrzekła Grez.

— Czy sama tego nie pamiętasz? — spytał doktor.

— Nieco sobie przypominam — odpowiedziała, — ale trochę niewyraźnie. — Było to już tak dawno! — i zaśpiewała starą miłosną piosenkę, nie przerywając roboty.

— Kiedy Alfred będzie miał żonę — mówiła — wtedy nastąpią dla nas szczęśliwe dni. Trzyletnia moja opieka kończy się, Merion; obowiązki były lekkie. Oddając cię, powiem Alfredowi, żeś go zawsze kochała i moja opieka okazała się zbędną. Wszakże można to powiedzieć, moja droga?

— Możesz mu powiedzieć, Grez — odpowiedziała Merion — żeś spełniła swoją obietnicę jak można najlepiej, wzniosłe i święcie, że z każdym dniem coraz więcej cię kocham i coraz serdeczniejszą miłością!

— O, tego nie powiem — rzekła żartobliwym tonem Grez, obejmując ją i całując — niech lepiej sam Alfred oceni moje zasługi według uznania. A sądzę, że i on, zarówno jak ty nie będzie szczędził pochwał.

To rzekłszy, zabrała się znowu do roboty i zaśpiewała ulubioną piosenkę. Doktor zasunął się w krzesło, wyciągając nogi i słuchał miłosnej melodii, tak różniącej się z treścią listu Alfreda. Wzrok jego przechodził z jednej córki na drugą, a rozmyślał on o tem, że choć w życiu wszystko głupstwo, są jednak w niem chwile przyjemne.

Skoro Klemensi Niukom spełniła swą misję i dokładnie o wszystkim już się dowiedziała, powróciła do swego towarzysza do kuchni. Pan Briten odpoczywał po kolacyi, otoczony kolekcją starannie wyczyszczonych miedzianych naczyń, stojących na półkach, a dowodzących niezmordowanej gorliwości Klemensi. Siedział jakby w zwierciadlanej sali, a obraz jego nieponętnych kształtów odbijał się wielokrotnie w miedzianych naczyniach. Nie można powiedzieć, by w odbiciach tych było wiele podobieństwa, na jednych bowiem przedmiotach obraz jego wyciągał się wzdłuż, na innych rozpływał się w szerz. Tutaj, podobnie jak między ludźmi mało było zgodności. W jednym tylko zgadzały się wszystkie odbicia: wyobrażały człowieka z fajką i kufelkiem piwa,

siedzącego za stołem i nieustannie uśmiechającego się do Klemensi, od chwili gdy weszła.

— Cóż nowego, Klemmi? — spytał Briten.

Klemensi opowiedziała mu wszystko, czego się sama dowiedziała, on zaś życzliwie wysłuchiwał jej słów. Przez te trzy lata Briten znacznie zmienił się na lepsze: wyzdrowiał, utył i poweselał. Przedtem wszystkie rysy jego twarzy zdawały się, jakby zmięte, obecnie wygładziły się i rozprostowały.

— Niedługo Snitczy i Kreggs znowu przedłożą rachunki — zauważył, ciągnąc fajeczkę — a my znów będziemy świadkami.

— Panie — zawołała jego piękna współtowarzyszka, pocierając i gładząc łokcie jak zwykle — kiedy nastąpi moja kolej?

— Jaka kolej?

— Wyjść za mąż — objaśniła Klemensi.

Benjamin wyjął fajkę z ust i parsknął śmiechem.

— Nie, tego się nie doczekasz! rzekł — biedna Klemm!

Jej podobała się ta uwaga i z całej duszy zaśmiała się sama.

— Tak sądzisz, że to nie nastąpi?

— Z pewnością. Kto cię weźmie? — rzekł pan Briten, biorąc znowu fajkę.

— Dlaczego? — zapytała dobrodusznie Klemensi. Pan Briten przecząco pokiwał głową.

— Najmniejszej nadziei! rzekł.

— A jeślibyś sam zamierzał się kiedy ożenić?

Pytanie tak nieoczekiwane i poważne wymagało wszechstronnej rozważki. Wypuściwszy gęsty kłęb dymu, Briten pilnie mu się przyglądał, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby to był właśnie przedmiot, o który chodziło. Zaczem oznajmił, że sam jeszcze nie wie i sądzi, że na tem się skończy!

— Kimkolwiekby ona była, życzę jej szczęścia! — rzekła Klemensi.

— O, bezwątpienia będzie szczęśliwą kobietą — zauważył Benjamin. O tem jestem zupełnie przekonany.

— Prawdopodobnie tak, ale jej życie nie byłoby tak miłym, gdyby mąż jej pozostał tem, czem był niegdyś — rzekła Klemensi, opierając się obiema rękami o stół i zajmując przez to prawie połowę tegoż. — A tę przemianę na lepsze mnie zawdzięczasz, nie prawda?

— Zapewne — odpowiedział Briten, który w wypoczynku doszedł do tego błęgiego stanu, w którym człowiekowi nie chce się już ruszać językiem. Siedział nieruchomo i niedbale rzekł:

— Bardzo wiele ci zawdzięczam, Klemm.

— Lubię być dla ciebie użyteczną — rzekła.

Według zwyczaju wzrok jej zatrzymał się na świecy, a przypomniawszy sobie o gojących własnościach łoju ze świec, zaczęła starannie nacierać nim łokcie.

— Wiele przeżyłem w swoim życiu Klemm — ciągnął zamysłony pan Briten. — Byłem zwolennikiem przyrody i przeczytałem mnóstwo książek o tem, słusznych i niesłusznych. W młodości pracowałem nawet na polu literackim.

— Czyż? — ze zdziwieniem zawołała Klemensi.

— Tak jest, dwa lata przesiedziałem za ladą w odkrytej budce, gotów rzucić się na każdego, ktoby odważył się schwycić choć jeden tom. Następnie byłem posłańcem w magazynie mód i musiałem roznosić w obitych woskowanym płótnem pudłach poczynione przez interesantów różne zakupy. Rozumie się, że to mogło zepsuć mój charakter i odjąć wiarę w ludzi. Wreszcie wypadło mi słuchać tu, w tym domu, tylu sporów i przeróżnych zdań, że w końcu poczęło mną szarpać zwątpienie. Teraz dopiero przekonałem się, że niema pewniejszego punktu oparcia w życiu i przyjemniejszego nad twoją tarkę do gałki muszkatułowej.

Klemensi chciała mu podpowiedzieć, ale on przerwał w półsłowa, wcześniej odgadując jej myśl.

— Wraz z naparstkiem. —

— Czyń drugiemu i tak dalej, nie prawda? — rzekła rozjaśniona z powodu tej uwagi Klemensi, trąc łokcie.

— Nie jestem pewien, czy można zaliczyć to zdanie do której z współczesnych filozofii,

nawet o tem wątpię, ale jest ono praktyczne, wygodne i nie doprowadza do sporów. A to nie zawsze osiąga się wskutek czystej filozofii.

— Pamiętasz, do kogoś był podobny przedtem? — zapytała Klemensi.

— Tak, tak — odpowiedział pan Briten — ale przedewszystkiem to, że swą przemianę zawdzięczam tobie. Z pewnością o tem nie miałaś pojęcia.

Klemensi, zupełnie nie obrażona, pokręciła głową, objęła się i z uśmiechem odpowiedziała, że i jej samej się zdaje, że nigdy o tem nie myślała.

— Jestem stanowczo o tem przekonany — dodał Briten.

— Bo i na cóż myśleć?

Benjamin wyjął znów fajkę z ust i śmiał się do łez.

— Paradna jesteś, Klemensi! — zawołał, wycierając oczy chustką.

Klemensi, dość zadowolona, dobrodusznie śmiała się wraz z nim, bez cienia obrazy.

— Nie można nie lubić ciebie — rzekł pan Briten. — Jesteś w swoim rodzaju prostodusznem stworzeniem! Daj rękę, Klemm. Będziemy zawsze przyjaciółmi i cokolwiekby się stało, będę z tobą.

— Czy tak! — ucieszyła się Klemensi — Dziękuję ci!

— Tak, tak — rzekł Briten, podając jej swą fajkę do oczyszczenia — nie porzucę ciebie. Cóż to? Jakiś hałas, słyszysz?

— Hałas, gdzie? — spytała Klemensi.

— Jakieś kroki, jakby ktoś przeskoczył parkan — rzekł Briten; — Czy na górze już się położyli?

— Tak, z pewnością już wszyscy śpią. — odpowiedziała. — Słuchali, lecz było cicho.

— Poczekaj — rzekł Benjamin, zdejmując ze ściany latarkę — pójde popatrzeć, co to takiego dla pewności; potem się położę. Otwórz drzwi, ja zaś zapalę latarnię.

Klemensi z ochotą uczyniła to, ale sądziła, że na próżno się będzie fatygował, co go trochę powstrzymało. Mimo to wyszedł, wzięwszy ze sobą żelazny hak i latarnię, którą oświecał wszystkie kąty.

— Tak spokojnie i cicho wszędzie, jakby na cmentarzu! — mówiła do siebie, wracając z sieni, Klemensi.

Wtem jej oczom ukazała się ludzka postać, która przesunęła się obok. — Kto to? — z trwogą krzyknęła.

— Cicho! — szepnęła Merion, podchodząc do niej. — Tyś zawsze mnie lubiła, nieprawdaż, Klemensi?

— Kocham cię, drogie dziecko, czyż możesz o tem wątpić?

— Mogę ci zawierzyć? Nie mam nikogo prócz ciebie.

— Z całej duszy pragnęłabym pani słuchać! — odpowiedziała Klemensi z uczuciem.

— Czekają tam na mnie — rzekła Merion, wskazując na otwarte drzwi — muszę się koniecznie widzieć i pomówić dziś jeszcze... Michale Warden, co pan robi? Na Boga, oddał się pan! Potem! Potem!

Klemensi drgnęła ze zdziwienia i strachu, widząc go na progu.

Mogą pana zobaczyć — rzekła Merion — potem. Wyjdź pan, zaraz do pana przyjdę!

Dał znak ręką i znikł w ciemności.

— Nie kładź się, chodź ze mną! — szepnęła Merion. — Cały czas szukałam sposobności, aby z tobą pomówić. Nie opuszczaj mnie i nie wydaj.

Schwyciła za rękę Klemensi obu rękami i przycisnęła ją do piersi, ale skryła się w tej chwili, gdy światło latarni Britena błysnęło we drzwiach.

— Wokoło zupełnie cicho i spokojnie, nigdzie niema żywej duszy, widocznie mi się przywidziało — rzekł Briten, zamykając drzwi na zasuwę. — Ot, co znaczy bujna wyobraźnia... ale dla boga, co ci jest? Co się stało?

Klemensi, jak kreda blada, ledwo trzymając się na nogach, drżąc na całym ciele, osunęła

się na krzesło, nie będąc w stanie ukryć swego wzruszenia.

— Co się stało! — powtórzyła, nerwowo trąc ręce i łokcie, nie podnosząc oczu. — Łatwo ci mówić, co się stało! Przestraszyłeś mnie śmiertelnie, włócząc się z latarnią po dworze i jeszcze się dopytujesz, co się stało.

— Przestraszyłaś się latarni, Klemensi? — spytał pan Briten, spokojnie gasząc ją i wieszając na miejscu. — Można usunąć ją z oczu... Ale cóż ci jest czegoś się przestraszyła, przecież zwykle niczego się nie boisz? — pytał, badawczo ją oglądając. Czy nie przyszły ci do głowy jakieś złe myśli?

Klemensi nic nie odpowiedziała i jak zwykle życzyła mu dobrej nocy, czyniąc przygotowania do snu i dając do zrozumienia, że zaraz położy się do łóżka. Benjamin Briten, wypowiedziawszy swój pogląd na zagadkowość kobiecej natury, ze swej strony życzył jej miłego snu, wziął świecę i powlókł się do siebie.

Kiedy już wszystko ucichło, Merion wróciła.

— Otwórz drzwi — rzekła — i stój przy mnie, póki będę z nim mówiła.

Pomimo wylęknienia widać było, że Merion wytrwale dąży do zamierzonego celu i Klemensi musiała jej usłuchać. Cicho odsunęła zasuwę i spojrzała na młode dziewczę, gotowe przestąpić próg, skoro jej tylko otworzą. Na przesłicznym jej obliczu nie było znać zmieszania;

oczy dumnie patrzyły prosto w twarz Klemensi. Swoim prostym, zdrowym zmysłem przeczuła Klemensi jakąś niewidzialną zaporę między panienką, a kochającą ją rodziną, zaporę, która stanowiła przeszkodę do jej małżeństwa z ukochanym człowiekiem. Zrozumiała, jak wielką będzie rozpacz rodziny, gdy się dowie o losie swej ulubienicy i wrażliwe, współczujące serce Klemensi wezbrało takim żalem, że nie mogła wytrzymać, padła jej na piersi i z płaczem objęła rękami jej szyję.

— Mało rozumiem, droga panienko — rzekła Klemensi — bardzo mało, ale wiem, że tego czynić się nie godzi. Pomyśl, co czynisz.

— Wszystko już obmyślałam.

— Pomyśl jeszcze — wstrzymaj się choć do jutra! — nalegała Klemensi.

Merion wstrząsnęła głową.

— Pomyśl choć o panu Alfredzie — błagała Klemensi. — Poprzednio tak go lubiłaś.

Merion zakryła twarz rękami i rzekła: „Lubiłam przedtem“ takim głosem, jak gdyby serce jej rozrywało się w kawały.

— Jeśli chcesz, pójde do tego pana — starając się ją uspokoić zaproponowała Klemensi. — Wszystko mu wytłumaczę. Pozostań tu i nie idź, to nie doprowadzi do dobrego. Nieszczęśliwym był dzień, w którym przynieśli tu pana Wardena. Pamiętaj o ojcu, kochana moja, wspomnij o siostrze.

— Postanowiłam już — rzekła Merion, porywczco wznosząc głowę. — Nie możesz wiedzieć, co uczynię i nie możesz o tem sądzić. Muszę się z nim widzieć. Za wszystko, coś mi powiedziała, uważam cię za swą najlepszą przyjaciółkę na świecie, ale muszę tak postąpić. Idziesz ze mną Klemensi — rzekła, całując ją — czy mam iść sama?

Rozgoryczona i zmartwiona Klemensi obróciła klucz i otworzyła drzwi. Merion wyszła, wiodąc ją za sobą w ciemność nieprzejrzaną.

Oczekiwał on na Merion i natychmiast się zbliżył. Między nimi zawiązała się ożywiona, poważna rozmowa. Ręka jej, którą trzymała Klemensi, była zimna, jak lód; Merion drżała i od czasu do czasu ścisnęła porozumiewająco rękę Klemensi, pod wpływem przeżywanych silnych wzruszeń. Po ukończeniu wyjaśnień, odprowadził je do drzwi, po chwili wahania wziął jej rękę, przycisnął do ust i skrył się.

Klemensi zamknęła drzwi na klucz i Merion znowu znalazła się w rodzicielskim domu. Pomimo młodości tajemnica nie ugięła jej; tenże sam wyraz, którego nie da się opisać i teraz z poza łez przeglądał w jej oczach.

Jeszcze raz pożegnała Klemensi, wyrażając jej swą miłość i zaufanie; powróciwszy do siebie, padła na kolana i modliła się.

Uspokojona modlitwą, podeszła do łóżka siostry, pochyliła się nad nią, długo patrzyła

na nią z miłością, poczem ucałowała ją i szepnęła: „Niech cię Bóg błogosławi.“ Potem ujęła rękę śpiącej Grez i otoczyła nią swą szyję. Zdawało się, że ta nawet we śnie troskliwie czuwa nad Merion.

Wkrótce ogarnął ją trwożny, przerywany widzeniami, sen. Nieraz szczebiotała po dziecinnemu, żalonym głosem, że „wszyscy o niej zapomnieli, że jest wciąż samotną.“

Choćby oddzielne dni ciągnęły się w nieskończoność, czas wogóle przemija niepostrzeżenie. Tak i miesiąc, pozostający do powrotu Alfreda, prędko przeleciał.

Dzień nastał chłodny i dżdżysty. Rwący wichur potrzasał od samych posad starym domem, który zdawało się, bujał na morzu. W takie dni dom staje się podwójnie miłym, bo ciepły kąt przy kominku, rzucającym jasne błyski na twarze zebranych, dodaje mu szczególnego wdzięku, a rodzinę wiąże ciaśniejszym węzłem, jakby dla obrony przed rozszalałym żywiołem. W taką niepogodę chętniej człowiek zapomina o uprzedzeniach, zbiera się w grona i oddaje się wesołości, śmiechom i tańcom przy ogólnem ożywieniu, dźwięku muzyki, przy blasku ognia.

Doktor o wszystkim pamiętał, pragnąc uczcić powrót Alfreda. Nie spodziewali się go przed północą; powinien był poznać, zajeżdżając, że tu zebrali się wszyscy jego znajomi i przy-

jaciele, gotowi go powitać; powinni znajdować się wszyscy bez wyjątku!

Goście byli sproszeni, muzykanci wynajęci, stoły nakryte i zastawione potrawami w celu serdecznego przyjęcia, podłogi wyczyszczone. Salę taneczną ustrojono narodowym zwyczajem girlandami z jasno zielonej jemioli, której Alfred nie widział na Boże Narodzenie podczas swego trzyletniego pobytu za granicą. Każda jagódka na tych girlandach miała mu nieść powitanie rodzinnej ziemi.

Wszyscy krzatali się cały dzień, a Grez najwięcej. Ona wszędzie spieszyła, rozstrzygała wątpliwości i uczestniczyła bez najmniejszego ściśnienia duszy przy wszystkich przygotowaniach. Nieraz w ubiegłym miesiącu i w ostatnim dniu Klemensi niespokojnie, nieledwie ze strachem śledziła za Merion, ale ta zdawała się być jeszcze miłszą i pociągającą spokojem i łagodnością, widniejącami na jej pobludłej twarzy.

Przyszła w balowym stroju z girlandą we włosach przypiętą rękami troskliwej Grez, uwitą z ulubionych kwiatów Alfreda. Zrazu zadumany, potem smutny wyraz, ale wciąż jakby jaśniejący uniesieniem nie schodził z jej twarzy.

— Następny wianek, którym przyjdzie mi ubrać twą główkę, będzie wianek ślubny — czy jestem złym prorokiem? — spytała Grez.

Siostra milcząc objęła ją.

— Czy chcesz mi wierzyć, Grez, że mnie prócz ciebie niczego więcej nie potrzeba.

Przypatrywała się siostrze, nie odrywając oczu.

— Dołożyłam wszystkich starań — odpowiedziała Grez — dalej iść już moja sztuka nie może. Wiem, żeś nigdy tak piękną jak teraz, nie była!

— I tak szczęśliwą — odrzekła tamta.

— Wkrótce będziesz jeszcze szczęśliwszą! Alfred i ty urządzicie się wygodnie i będziecie żyli wesoło i bez troski.

Ona uśmiechnęła się.

— Życie przedstawia ci się świetlanym marzeniem, widzę to po twych oczach. Mam nadzieję, że będzie ono takim i jestem temu bardzo rada.

— No — rzekł doktor, wchodząc — czy wszystko gotowe? Alfred nie może przyjechać przed północą, trzeba więc, abyśmy się do tej pory rozweselili. Popraw no ogień, Briten! Niech płonie jaśniej! Wszystko na świecie głupstwo, córeczko; prawdziwa miłość i wierność głupstwo! Będziemy i my błaznowali i przygotowujemy Alfredowi wesołe spotkanie! Ze wszystkich tych głupstw jedno uznaję — ciągnął stary doktor, z dumą lubując się obiema pannienkami — a mianowicie, że jestem ojcem ślicznych córek.

— A jeśliby jednej z nich przyszło przed tobą oskarżyć się, drogi ojczy, albo zasmucić cię, — rzekła Merion — czy przebaczyłbyś jej? Powiedz, że jej wszystko przebacysz, kiedy dusza jej tak przepełniona uczuciem, obiecaj, że, nie zważając na nic, zawsze ją będziesz kochał i przechowywał pamięć o niej.

Nie domówiła i śliczna jej twarzyczka skryła się na piersi ojca.

— Ależ, dziecko, — czule odrzekł doktor — co ci jest, moja droga. Przebaczyć ci — ale co? Jeżeli narzeczeni swym powrotem doprowadzają do tego narzeczone, to radziłbym im nie spieszyć się i nie przebywać więcej, niż jedną lub dwie mile na dobę, aby one miały czas się przygotować. Pocałuj mnie, córeczko. Przebaczyć, cóż ci się przywidziało? Głupiutka dziewczynko! Jeślibyś mnie zasmucała i sto razy na dzień, to i to bym ci przebaczył! Po co to mówisz? Pocałujże mnie jeszcze raz. No tak, za dawniejszy czas i za obecny! Teraz sprawy nasze skończone. Poprawcie drwa na kominku! Czy chcecie ludzi pozamrażać? Niechby tylko wszystkim nie było wesoło, ciepło i jasno, jabym wam tego nie darował.

Kiedy tak doktor o to się zatroszczył, płomienie rozgorzały, ogień świecił i goście zwolna zaczęli się zjeżdżać. Ożywiona rozmowa napełniła dom całym weselem i radosnym nastrojem.

Wzrok gości kierował się na Merion, życzyli jej powrotu Alfreda. Czcigodne mamusie, wachlując się, znajdowały ją cokolwiek za młodą i wątłą do cichego, rodzinnego życia, a ojcowie ku wielkiemu niezadowoleniu żon, zachwycali się jej pięknnością. Dziewice zazdrościły jej — a młodzieńcy jemu. Zakochane parki korzystały z wygodnej sposobności, a wszyscy byli podnieceni i z niecierpliwością czekali.

Pani Kreggs weszła pod rękę z panem Kreggsem, a pani Snitczy sama.

— Gdzież on? — zapytał doktor.

Zdawało się, że zdobiący kapelusze pani Snitczy ptak rajski ożył i zatrzepotał, kiedy dama ta odrzekła, że bez wątpienia będzie o tem wiedział pan Kreggs; „jej“ zaś nigdy nie wiadomo.

— Wstrętny kantor! — dodała pani Kreggs.

— Oby spłonął! — dorzuciła Snitczy.

— On... on miał mały interesik; który może go zatrzymał, — rzekł pan Kreggs, niespokojnie oglądając się wokoło.

— Interesik, a nie pan nie mówił! — powiedziała pani Snitczy.

— Wiemy, co to znaczy interesik! — dodała pani Kreggs.

Widocznie dlatego, że ani jedna, ani druga nie wiedziała, o co chodzi, rajski ptak pani Snitczy tak nienaturalnie trzepotał, a wisiorki

przy koleczykach pani Kreggs brzęczały, jakby dzwonki na miniaturowej dzwonnicy.

— A dlaczegoż to ty, panie Kreggs, mogłeś się być uwolnić? — spytała go żona, nie bez ironii.

— Pan Kreggs widocznie jest ulubieńcem losu — dodała pani Snitczy.

— Ich zawsze pochłania ten kantor — rzekła pani Kreggs.

— Ludzie, mający kantor, nie powinni się żenić — zawyrokowała pani Snitczy.

Pani Snitczy sądziła, że spojrzenie jej przebiło nawskroś duszę pana Kreggsa i że ją zrozumiał; a pani Kreggs oznajmiła swemu mężowi, że „jego Snitczy“ oczywiście wodzi go za nos i że przekona się o tem, gdy będzie już trochę za późno.

Jednak pan Kreggs, nie zwracając na to uwagi, rozglądał się, jak poprzednio, dopóki nie ujrzał Grez; następnie podszedł ku niej.

— Moje uszanowanie pani! — rzekł. — Jest pani czarującą; a pani siostra, Merion... jak...

— Witam pana! ona tu, panie Kreggs.

— A ja... a, ona tutaj? — zapytał Kreggs.

— Oto ona! właśnie ma zamiar tańczyć — objaśniła Grez.

Pan Kreggs nałożył okulary, popatrzył na Merion, kaszlnął, schował okulary do futerału i z widoczną ulgą włożył go do kieszeni.

Muzyka zagrała i zaczęły się tańce. Drwa na kominku płonęły jasno, trzeszcząc i sypiąc iskrami, to wzmagając się, to przygasając, jak gdyby brały niby jaki dobry towarzysz, udział w ogólnej wesołości. Ogień niekiedy szumiał, stosując się do dźwięków muzyki, to znowu olśniewał jak błyskawica, rozjaśniając starą salę, w której po kątach czule szeptały pary. Gdzieś tam jego błyski drżały na zielonych girlandach, przebiegając po krasnych jagódkach jemioli, jakby wstrząsane chłodnym wiatrem ze sadu. Czasami stawał się ponad miarę niespokojnym i wzburzonym, wówczas z wielkim trzaskiem wyrwał się na salę, rozsypując pod nogi tańczących całe snopy drobnych, nieszkodliwych iskierek, a potem rwał się i miotał, jak szalony, póki nie wzbił się w górę po szerokim okapie starego kominka.

Drugi taniec się kończył, kiedy pan Snitczy dotknął z tyłu ręki towarzysza, przyglądającego się tańczącym parom. Pan Kreggs drgnął, widząc, że pojawienie się jego przyjaciela było oznaką umówioną.

— Wyjechał? — spytał.

— Tss... cały ten czas spędził ze mną — rzekł Snitczy — więcej niż półczwartej godziny. O wszystkim rozprawialiśmy; wszystkiemu uwierzył i zrozumiał. On... hm.

Taniec skończył się. Merion przeszła obok adwokatów, ale nie zauważyła ich. Powoli skie-

rowała się ku towarzystwu, obracając się plecami w stronę, gdzie stała Grez i znikła.

— Widzisz, wszystko poszło pomyślnie — rzekł Kreggs. — Nic takiego nie mówił, spodziewam się?

— Ani słowa.

— Wyjechał? Czy też to skończy się szczęśliwie?

— Nie odstąpi od swych słów: popłynię w dół z biegiem rzeki na swem czołnie, a stamtąd — na żaglowcu na odkryte morze bez względu na pogodę. Zuchwały śmiałek! To jedyna pewna droga: innej niema. Przyплыw obecnie o jedenastej; do północy się przeprawi. Cieszę się, że wreszcie mogę się uspokoić.

Pan Snitczy otarł pot z czoła. Widocznie był w wielkiej trwodze.

— A cóż myślisz — zaczął pan Kreggs — o...

— Cicho! — odpowiedział ostrożny wspólnik, nie patrząc na niego. — Nie wymieniam nazwisk, czyn tak, jakbyśmy mówili o drobnościach. Wiem, o czemś myślał, ale prawdę mówiąc, teraz mi już wszystko jedno; jestem spokojny. Być może, że pewność siebie go zawiodła; być może, że dziewczyna z nim kłóciła; pewno tak jest. Cóż, Alfred jeszcze nie przyjechał?

— Nie jeszcze; ale go oczekują lada chwila.

— Tak. — Pan Snitczy znowu obtarł czoło chustką. — Zaczynam przychodzić do

siebie. Od czasu, jak weszliśmy do spółki, ani razu tak się nie wzruszyłem! A teraz możemy bawić się, panie Kreggs.

Pani Kreggs i pan Snitczy, usłyszawszy te słowa, podeszły do nich. Ptak rajski silnie drżał, a dzwoneczki przy koleczykach silnie dzwoniły.

— Twoją nieobecność zauważyli wszyscy; służy za temat do rozmów — rzekła pani Snitczy. — Spodziewam się, że spółka „Snitczy i Kreggs“ zadowolona?

— Zadowolona, duszko? Czem? — zapytał pan Snitczy.

— Tem, żeś nieładnie wystawił kobietę, swą żonę, na wstyd i uczyniłeś ją przedmiotem plotek — odpowiedziała mu żona. — Takie postępowanie jest zupełnie w duchu spółki waszej firmy.

— Ja już dawno — rzekła pani Kreggs — pogodziłam się z myślą, że kantor lekceważy życie rodzinne i rada jestem, że i pani uznajesz go za jawnego wroga spokoju. To w każdym razie słuszne i szczere.

— Duszko — wtrącił pan Kreggs — wprowadź bardzo cenię twe zdanie, ale doprawdy nie wiem, czy dałem ci kiedy powód do uznania naszego kantoru za wroga twego spokoju.

Jeszczeby też! — dąsała się pani Kreggs. — Czyż byłbyś godnym kantorem, jeślibyś otwarcie przyznał się do czegoś!

— Co się tyczy mego spóźnienia na dzisiejszą uroczystość — rzekł pan Snitczy podając rękę żonie — to ja sam na tem wszystkim straciłem; pan Kreggs może...

Pani Snitczy nie dała mu dokończyć i odciągnęła go na bok. Poprosiła, by spojrział na tego człowieka, by zrobił jej tę przyjemność i spojrział na niego.

— Na jakiego człowieka, duszko? — spytał pan Snitczy.

— Oczywiście na twego miłego spółnika, panie Snitczy. Widocznie niczem jestem w porównaniu z nim.

— Przeciwnie, duszko, przeciwnie — uspakajał ją.

— Nie, nie, nic nie mów — rzekła pani Snitczy, patrząc nań z góry. — Rozumiem swoje położenie, gdzież tam mnie! . . . Lubuj się swoim towarzyszem i uczestnikiem tajemnic, dozorcą twoich interesów, swoim powiernikiem i podporą w życiu, jednym słowem twojem drugim „ja“!

Według zwyczaju pan Snitczy spojrział w tę stronę, gdzie stał jego towarzysz.

— Czy nie widzisz, że on cię oszukuje? Jesteś pastwą jego chytryści, silnym orężem w jego rękach! On cię opętał i tyle; żadne perswazyje nie pomogą, mogę się tylko nad tobą użalać!

W tym czasie pani Kreggs rozprawiała na ten sam temat. — Jakże można, mówiła, być na tyle zaślepionym i nie rozumieć swego położenia? Jedno spojrzenie na pana Snitczy wystarcza, aby poznać całą jego chytryść i obłudę. Czy pan Kreggs nie widzi, jak jego Snitczy ogląda się na wszystkie strony i wyciera chustką? Widocznie na jego sumieniu (o ile tylko tacy ludzie mają sumienie) ciąży jakaś wina i stara się ukryć to przed wszystkimi. Czyż uczciwi ludzie tak się podkradają? Ta ostatnia uwaga była nieusprawiedliwiona: pan Snitczy wszedł zwykłą drogą przez drzwi, tak samo jak inni goście. Nakoniec, czyż pan Kreggs i teraz wbrew oczywistości będzie starał się wykazać, że jego Snitczy nie nie przewinił i będzie występował przeciw faktom, zdrowemu rozsądkowi i wieloletniemu doświadczeniu?

Snitczy i Kreggs nie starali się powstrzymać nagłego potoku wymowy i czekali, aż się sam wyczerpie. Stało się to w chwili, kiedy tańczący podzielili się parami do kadryla. Pan Snitczy poprosił panią Kreggs, a pan Kreggs wdzięcznie podał ramię pani Snitczy. Po krótkich uwagach w rodzaju: „dlaczego pan nie prosił innej damy,“ albo: „zapewne pan myśli, że się przekonam“, albo wreszcie: „dziwię się, że pan może tańczyć? A kantor?“ przytem ta ostatnia uwaga była już rzucona tonem dobro-

dusznego żartu, obie damy chętnie przyjęły zaproszenia i zajęły ze swymi danserami miejsca.

Obie pary siadały zazwyczaj razem przy jednym stole na wszystkich kolacyach i obiadach, a między nimi przez długie lata istniały bliskie, przyjacielskie stosunki. Wyrażenia „podstępny Kreggs” i „wiarołomny Snitczy” służyły jako wynagrodzenie obu żonom za to, że były usunięte zupełnie od uczestnictwa w sprawach kantoru. Obie trudziły się dla dobra ogólnego nie mniej gorliwie i z dobrą wiarą, jak ich mężowie, uważając powodzenie firmy za niemożliwe bez ich współdziałania.

Ptaka rajskiego w podskokach podlatywał wzdłuż sali, dzwoneczki trzęsły się i dźwięczały, a rumiane oblicze doktora, przetaczało się naprzód i wtył i kręciło jak drewniany, lakierowany bąk. Zadyszany Kreggs osądził, że kadryl „nie jest tak łatwym” jak inne rzeczy w życiu, za to Snitczy tańczył z takim zapałem, że odsłużył nie tylko za „Kreggsa i siebie” ale też i za półtuzina innych.

Ogień na kominie zapłonął z ożywieniem od ruchów tancerzy, odbijając się w ich oczach, błyszcząc na drogocennych kamieniach, na śnieżnobiałych ramionach dam i dziewcząt, iskrząc się w ich zausznicach; to świecąc na ich biustach, to rzucając różowy odbłask na ich nogi, to rozjaśniając sklepienia i ściany, różowiąc ich

podniecone, wesołe twarze. Zausznice i dzwoneczki pani Kreggs gorzały jak żar.

Taniec ożywił się coraz więcej i więcej, muzykanci przyspieszali tempa, a leciutki wieńczyk zwolna przemienił się w prawdziwy huragan. Zaszleściły liście na girlandach, jakby do sali wpadł tłum niewidzialnych sylfów, wichrem krążących między parami. Doktor tak szybko się kręcił, że trudno było rozróżnić jego twarz; rajska ptak obleciał salę z szybkością błyskawicy, a dzwoneczki dźwięczały i dzwoniły bez przerwy. Lekkie suknie wzdymały się, jak fale podczas burzy. Nakoniec muzyka umilkła i przerwała tańce.

Doktor ze wzrastającą niecierpliwością oczekiwał Alfreda.

— Cóż, nic nie widać i nie słychać, Briten?

— Ciemno, panie, zdawało się nie widać. A w domu taki hałas, że trudno cokolwiek słyszeć.

— Prawda. Która godzina?

— Akurat dwunasta. Powinien zaraz przybyć.

— Popraw ogień i dodaj drzewa — rzekł doktor. — Niech zdawa widzi, że go oczekuje wesołe ognisko.

Tak, ono powitało go jeszcze z daleka. Skoro tylko wyjechał z za rogu starego kościółka, ujrzał z okien pocztowej karetki jego blask; poznał komnatę z jasno oświeconymi

oknami i żywo płonącym kominem. Nagie gałęzie drzew zamigotały mu pod oczami; poznał między niemi drzewo rosnące obok okna Merion, które tak melodyjnie szumiało liśćmi podczas lata.

Serce jego zabiło, ledwie panował nad sobą od nadmiaru szczęścia. To spotkanie, o którym marzył tyle razy, nie śmiejąc wierzyć w jego prawdopodobieństwo, tyle razy przeżywał je w swej wyobraźni, tak pragnął go i tak się męczył, czekało go w dali!

Oto ognie, jasne płomienie na kominku wzniecone na cześć jego powrotu! Wyciągnął ręce, zdjął kapelusz i głośno powitał swych przyjaciół, jakby ich widział, a oni mogli go słyszeć. Niecierpliwość jego rosła; rwał się naprzód, na nic nie zważając i zapominając o wszystkim innym.

— Stój! — Znał doktora i zrozumiał, że na cześć jego urządzono przyjęcie. Chciał pojawić się niespodzianie; trzeba było tylko dojść do domu piechotą. Jeśli furtka zamknięta, to przejdzie przez ogrodzenie, jak nieraz bywało i w jednej chwili znajdzie się między nimi.

Wyszedł z karety, nakazując woźnicy zwolna jechać za nim w oddaleniu, no i to było niełatwem przy jego wzruszeniu; podbiegł do wrót, próbując otworzyć furtkę, wyszedł na parkan, zeskoczył na drugą stronę zadyszany od wzruszenia i znalazł się w starym sadzie.

Puszysty szron okrywał drzewa. W smutnem świetle księżyca zdawało się, że małe gałązki poobwieszane girlandami chmurek. Ostrożnie zbliżał się do domu, śnieg i suche listki chrzęściły mu pod nogami. Skostniałość zimowej nocy skuwała całą przyrodę, niebo i ziemię.

Okna były zalane wesołym światłem ognia; sylwety migwały naprzód i w tył; szum i hałas, jakby radosne powitanie już doleciały do jego uszu.

Stał, nad słuchując, czy nie doleci go głos jej, zdawało mu się nawet, że słyszy. Był już u drzwi, gdy te nagle otworzyły się, a kobieca postać z ciemności wpadła na niego i odskoczyła z trwogą.

— Klemensi — rzekł, czyś mnie nie poznała?

— Nie wchodź! — krzyknęła, odsuwając go. — Nie wchodź, na miłość Boga! Oddal się!

— Co się stało? — zawołał Alfred, nie domyślając się.

— Nie wiem. Nie pytaj. Ja .. ja... strasznie pomyśleć. Idź, idź stąd!

W tem w domu powstała straszna wrzawa. Klemensi z rozpaczy chwyciła się za głowę. Rozległ się rozdzierający krzyk, którego nie mógł zagłuszyć żaden hałas i Grez, w rozpaczy łamiąc ręce, wybiegła z domu.

— Grez! — schwycił ją za ręce. — Co się stało? Ona umarła?

Greż wyrwała się, popatrzyła na niego i bez czucia padła na ziemię.

Goście tłumnie otoczyli ją. Między nimi był stary doktor z kartką w ręku.

— Co się stało? — dziko zawołał Alfred, obrzucając obecnych błagalnym wzrokiem i opuszczając się na kolana obok leżącej bez czucia Greż. — Czyż nikt nie powie mi prawdy? Czy niczego się nie dowiem?

W tłumie rozległ się szmer „uciekła“.

— Uciekła! — jak echo powtórzył Alfred.

— Uciekła, mój drogi Alfredzie! — rzekł drżącym głosem doktor, zakrywając twarz rękami. — Poszła z własnego domu! Pisze, że zrobiła inny wybór, prosi, by jej nie winić, bo nie czyni nic złego i błaga nas o przebaczenie i o pamięć, bo już więcej nie wróci.

— Z kim uciekła? Gdzie?

Zerwał się na nogi, jakby chciał rzucić się za nią w pogoń, lecz kiedy tłum się rozstąpił, by dać mu wolne przejście, slaniając się, wrócił, znów osunął się na kolana w poprzedniej postawie i ujął zimną rękę Greż.

Wszczęło się zamieszanie, bezładna bieganina na wszystkie strony, wrzawa i nieporządek. Jedni udali się na poszukiwanie latarni, drudzy mówili, że niema żadnych śladów, ani znaków i że żadne poszukiwania do niczego nie doprowadzą. Jego obstąpili ze słowami współczucia, przekonując go o konieczności zanieśienia Greż

do pokoju. Niczego nie słyszał i nie podnosił się, pozostając na wszystko obojętnym.

Gruby śnieg padał płatkami. Alfred w myśli równał go z białym całunem, którym pokryły się wszystkie jego nadzieje i marzenia. Ten sam śnieg, padając na ziemię, zakrywał ślady Merion, wymazując tym sposobem wszelkie o niej wspomnienie. Nie uczuwał chłodu i nie wstawał z klęczek.

CZĘŚĆ III.

Swiat postarzał się o sześć lat od opisanych przez nas wypadków. Był to ciepły jesienny wieczór po ulewnym deszczu. Nieoczekiwane słońce wyjrzało z za chmur i oświeciło stare bojowe pole, które na jego powitanie zabłysło miliardami iskier, błyszczących na liściach i mokrej trawie.

Słoneczny świt, rozlewając się po okolicy, wszystko ożywiał niby obecność samego Boga. Mroczny i jednobarwny przedtem las mienił się teraz licznymi tonami: zielonym, żółtym i ciemno-czerwonym. Z liści spływały błyszczące krople dżdżu. Zielona łąka, zdało się, martwa, teraz jakby ożyła, ciesząc się jasnością nieba. Pola, żywopłoty i plecione parkany, a także i zbite w jedną grupę maleńkie miasteczko wraz z dzwonnica, rzeczką i młynem — wszystko żywo występowało z mroku. Ptaszki słodko śpiewały, kwiaty podniosły pochylone główki, orzeźwione radosnym oddechem ziemi, a w górze rozeszło się błękitne niebo. Skośne promienie

słońca przebiły ponure chmury, które powoli usuwały się w dal, tęcza, mieniać się żywymi barwami kwiatów, szeroko rozpostarła się na sklepieniu niebieskiem.

Niewielka oberża, kryjąca się za wysokim rozłożystym wiązem, którego gruby pień otaczała darniowa ławka dla wypoczynku pieszych, zwracała się swą wesołą fasadą ku szerokiej drodze. Przyciągała ona podróżnych swym miłym wyglądem i błyszczącym w słońcu jaskrawym godłem ze złotym napisem, które wisiało na drzewie i przeglądało z poza liści. Konie, przechodząc mimo kłody, napełnionej świeżą wodą i rozrzuconego obok niej wonnego siana, już zdala strzygły uszami. Czyste firanki, poruszane wiatrem, zdawały się zapraszać do wejścia i odpoczynku. Na zielonych tablicach nad napisami, głoszącymi o portrze, piwie i lekkich winach, chowanych w zapasie dla gości, widniał pociągający obrazek dużego ciemnego kufła z pieniącym się piwem. Pod oknami stały barwne doniczki z kwiatami, stanowiące kontrast z białą fasadą. Przez otwarte drzwi widać było migotliwe połyski butelek i karafek, które stały na bufecie.

O tej to porze ukazała się na progu zajazdu otyła, barczysta postać gospodarza. Z fajką w zębach, z rękami w kieszeniach, rozstawiwszy nogi, stał w pozie człowieka w pełni zaufanego w dobroć swego wina i biesiadnych zapasów.

W około niego nie było suchego miejsca, wszystko przemokło a on był tem zadowolony. Może ociężałe główki dali w czystym ogródku kwiatowym ucierpiały od zbytku wilgoci, za to ostrokrzew, róże i inne kwiaty, rosnące pod oknami i drzewo, rozsypując w około siebie kropelki wody, rozkoszowały się, jak goście zaproszeni na ucztę, kiedy już dosyć wypito.

Od czasu swego istnienia zajazd nosił oryginalną nazwę „Tarki do gałki muszkatułowej“, jaka widniała na godle, nad niem było umieszczone, złotymi literami nazwisko gospodarza: Benjamin Briten.

Rzeczywiście przyglądnawszy się mu, poznaliście, że nie kto inny, jak sam Benjamin Briten stał na progu domu, nieco zmieniony na lepsze i we wspanialej postawie gospodarza.

— Cóż to, pani Briten nie myśli wracać — mówił patrząc na drogę. — A już byłby czas; toż to już pora pić herbatę.

Na drodze było pusto; bez pospiechu wyszedł nacieszyć się swoją chudobą i czuł się bardzo zadowolony wrażeniem.

— Napewno do takiego domu zawszebym wstąpił, o ile nie byłbym jego gospodarzem — rzekł do siebie.

Podszedł do kwietnika, obejrzał pochylone główki dali, które jak gdyby otrząsały się, kiedy spadały z nich napęlniające je krople.

— Trzeba o nich pamiętać; żebym tylko nie zapomniał jej tego powiedzieć. Jednakże jej długo няма.

Pan Briten, w oczekiwaniu cenniejszej swej połowy, wydawał się zafrasowanym i bezradnym.

— Zdawało się, że spraw ma niewiele — rzekł Ben. — Tylko wstąpi tu i owdzie po ukończeniu targu, oti wszystko. A a! wreszcie!

Bryczka z malcem na koźle zamasyżście toczyła się po drodze. Na siedzeniu, ze złożonymi gołymi rękami na koszyku, który spoczywał na jej kolanach, siedziała pochyła dama z wielkim mokrym parasolem spuszczonego za plecy, ostawiona dookoła różnymi koszykami i zawiniątkami, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę od wstrząśnień.

Dobroduszną twarz i nieskładną pozą, już zdala przypominały kogoś dawno znajomego; w miarę zbliżania się, wspomnienia stawały się jaśniejsze; a kiedy bryczka podjechała do drzwi „Muszkatułowej tarki“ i z niej ukazała się para nóg w ogromnych trzewikach, znikła w objęciach pana Britena i dość ciężko opuściła się na ziemię, nie pozostało już żadnych wątpliwości: takie buciki nie mogły należeć do kogo innego, prócz Klemensi Niukom.

I rzeczywiście, była to ona, wesół, rumiana, jak przedtem, z połyskującą od mycia twarzą, ale już bez podrapań na łokciach, które

natomiast ozdobiły się dołkami, od wygodnego i szczęśliwego życia.

— Co tak późno, Klemmi? — spytał pan Briten.

— Dużo było sprawunków, — odpowiedziała, bacznie czuwając nad przeniesieniem do domu wszystkich koszyków i pakunków, — ośm, dziewięć, dziesięć — gdzież jedenasty? Tak, to mój koszyk jedenasty! Wszystko już. Wyprzęgnij konia, Harri, daj mu na noc ciepłego jedzenia, jeśli będzie kaszleć. Ośm, dziewięć, dziesięć — oto jedenaście? . . . Tak, to, — mój koszyk. Cóż dzieci, Ben?

— Zdrowe i wesole, Klemensi.

— No, chwała Bogu! — rzekła pani Briten, wchodząc do pokoju i rozwiązując wstążki kapelusza. — Pocałujmy się, stary!

Pan Briten z zadowoleniem spełnił jej życzenie.

— Zdaje się, — rzekła pani Briten, wypróżniając kieszenie i wyjmując cały stos książeczek i zmiętych papierów — nic nie zapomniałam. Zapłaciłam wszystko za kwitami, rzepę sprzedałam; rachunek piwowara sprawdziłam i za piwo oddałam. Fajki zamówiłam i włożyłam siedmnaście funtów i cztery pensy do banku. To pieniądze przeznaczone dla doktora Gittilda za leczenie malutkiej Klemm, których nie chciał wziąć. Nic nie chce brać, Ben.

— Myślałem, że odmówi — odpowiedział Ben.

— Powiedział: choć byście nie wiem wiele mieli dzieci, leczenie ich nic was nie będzie kosztowało.

Twarz pana Britena nabrała poważnego wyrazu i patrzył ze skupieniem na ścianę.

— No, czyż to nie pocziwa dusza, Ben? — rzekła Klemensi.

— Pocziwa, Klemm. Co się mnie tyczy, to w żadnym razie nie chcę zła rugować jego dobrocią.

— Rozumie się, rozumie się — rzekła Klemensi. — A nasz ponny? Wszystko to będzie kosztowało ośm funtów i dwa pensy; nie prawda, że nie źle? Jak myślisz?

— Stosunkowo nie źle — potwierdził Briten.

— Jestem rada, żeś zadowolony! — zawołała żona — choć byłam o tem przekonana. No na razie zostawmy to. Weź wszystkie kwity. Ach, poczekaj! Oto jeszcze jakieś niemiłe ogłoszenie: trzeba je wywiesić. Jeszcze nie wyszło, wprost z drukarni. Popatrz, jak przyjemnie pachnie.

— Co to takiego? — spytał Ben, rozkładając papier.

— Nie wiem, nie czytałam — odpowiedziała żona.

„Sprzedaje się na licytacji — czytał gospodarz „Muszkatułowej tarki“ — jeśli poprzednio nie będzie sprzedane z wolnej ręki.“

— Zawsze tak piszą — przerwała Klemensi.

— Przypuśćmy, że tak, ale słuchaj dalej — ciągnął — „majątek“ itd., „dom“ itd., „budynki gospodarskie“ itd., „ze wszystkimi przynależnościami“ itd. „B. Snitczy i Kreggs“ itd. „cały majątek przynależny do pana Michała Wardena, esquir'a, który przebywa za granicą.“

— Przebywa za granicą! — powtórzyła Klemensi.

— W każdym razie tu tak podano; przeczytaj sama — rzekł pan Briten.

— Boże mój; mnie jeszcze dziś w starym domu upewniali, że mają wkrótce prawdziwe i pewne wiadomości o niej otrzymać — rzekła Klemensi, ze smutkiem wstrząsając głową i pocierając łokcie, jakby wspomnienia przeszłości obudziły w niej dawne nawyknięcie. Boże, Boże, jak to przykro odbija się na nich!

Pan Briten ciężko westchnął, kiwając głową i rzekł, że nic nie może zrozumieć w tej sprawie i już dawno usunął się od wszelkich interesów. Potem zaczął przyklepiać oznajmienie na ścianie, we wgłębieniu okna, przy bufecie. Klemensi, posiedziawszy parę sekund, wstała i poszła zajrzeć do dzieci.

Mimo żywego przywiązanie do żony gospodarz „Muszkatułowej tarki“ zachowywał się względem niej po dawnemu protekcyjnalnie i bawił się jej kosztem. Jakżeby się zdziwił, dowiedziawszy się od trzeciej osoby, że ona prowadziła cały interes i że cały ten jego interes szedł tylko dzięki jej zdolnościom i akuracności. W życiu na każdym miejscu można znaleźć ludzi, ze skromności nie wysuwających swych zasług na pokaz. Takich ludzi nigdy nie ceni się według zasług, obchodzą się z nimi pobłażliwie, przebacząc im dziwactwa, a tymczasem wielu z nas musiałoby się zarumienić przy porównaniu z nimi, jeśli byśmy zadali sobie trud głębszego wniknięcia w sprawę.

Pan Briten uznawał, że zniżył się do małżeństwa z Klemensi i to było mu miłym. Była ona bowiem żywym przykładem jego dobroci i wielkoduszności i zdawało mu się, że Klemensi, jako najlepsza żona i gospodyni, mogła służyć za najlepszą ilustrację starego przysłowia: „Dobroczyńca — sam dla siebie nagrodą.“

Przyklejając opłatkiem ogłoszenie i chowając przywiezione przez żonę sprawunki, przez cały czas naśmiewał się z jej zamięłowania do czynu. Klemensi powróciła i oznajmiła, że obaj chłopcy w stodole pod nadzorem Betsi, a malutka Klemm śpi „jak aniołek.“ Herbata, przygotowana na małym stoliku, oczekiwała jej powrotu. Wszystko

było nadzwyczaj czyste i porządne; maleńki stolik, zastawiony według zwyczaju butelkami i filiżankami i dobry zegar, matematycznej dokładności, który pokazywał wpół do szóstej, każda rzecz stała na swoim miejscu, wszystko świeciło się i błyszczało.

— Wreszcie mogę sobie za cały dzień odpocząć — oznajmiła pani Briten, oddychając pełną piersią. Skoro tylko spoczęła, zaraz zerwała się, podała mężowi kubek herbaty i zajęła się przygotowaniem kromek chleba z masłem. — Jak to ogłoszenie przypomina mi dawne czasy!

— Ach tak — przyznał pan Briten, łykając herbatę z kubka, jakby ostrzygi.

— Za tego samego Michała Wardena — rzekła Klemensi, wskazując głową w stronę ogłoszenia — straciłam wtedy miejsce.

— Za to znalazłaś męża — rzekł pan Briten.

— Tak, prawda, tak się to i stało; za to jestem mu bardzo wdzięczną.

— Do wszystkiego w życiu można się przyzwyczaić — rzekł pan Briten, patrząc na żonę z poza kubka. — Dlatego to i ja tak do ciebie przywykłem, Klemm, że nie byłbym w stanie żyć bez ciebie. I dlatego pobraliśmy się, ha, ha, ha! Ktoby się mógł tego spodziewać?

— Z pewnością nikt; aleś ty postąpił szlachetnie, Ben.

— No, nie, dlaczegoż? — skromnie zaprzeczył pan Briten. — Nie warto o tem mówić.

— Jakto nie warto! — zawołała żona do brodusznie. — Tak ci jestem wdzięczną, Ben, że nigdy tego nie zapomnę. O, — mówiła, patrząc znów na ogłoszenie — kiedy ona uciekła i to stało się wiadomem i kiedy już jej biedaczki nie można było dogonić, nie mogłam dłużej milczeć ze względu na nią samą, jak i ze względu na wszystkich pozostałych; opowiedziałam wszystko, co mi było znane. Czyż mogłam nie opowiedzieć?

— Bezwarunkowo, postąpiłaś słusznie, oznajmiając im całą prawdę — przyznał jej mąż.

— Doktor Dzeddler — ciągnęła Klemensi, stawiając swą filiżankę i z zadumaniem patrząc na oznajmienie — wypędził mnie wtedy w przystępie gniewu i żalu! Zadowolona jestem, że mu nie odpowiedziałam wówczas jakimi porywczyemi słowy i nie uniosła się także w pierwszej chwili; gorzko potem żałował tego. Ileż razy potem w tym samym pokoju bolał nad tem co się zdarzyło. Ile razy siedział tam, całemi godzinami rozpytujać mnie o wszystko, dowodząc, że go to tak bardzo interesuje! A to dzięki temu, że wiedział, jak ona mnie lubiła, Ben!

— Skąd ty to wiesz, Klemensi? — pytał mąż, zdziwiony opowiadaniem wydarzeń, o których sam miał bardzo niejasne wyobrażenie.

— Doprawdy, nie wiem — odpowiedziała Klemensi, zaczynając dmuchać w kubek z herbatą. — Nie śmiałabym objaśnić tego, choćby mi nawet obiecano sto funtów.

Bez wątpienia długoby jeszcze rozprawiał nad tym abstrakcyjnym tematem, gdyby przed oczami jego żony, za jego plecami, nie pojawił się bardziej realny przedmiot w osobie dżentelmena w żalobie, w płaszczu i przy ostrogach. Zatrzymał się na progu, uważnie przysłuchując się ich rozmowie.

Klemensi podniosła się zaraz, jak tylko go ujrzała, Briten także powstał i powitał gościa.

— Czy pan nie zechce udać się na drugie piętro; tam jest śliczny pokój.

— Dziękuję — rzekł nieznajomy, badawczo patrząc na żonę pana Britena. — Czy mogę wejść?

— Proszę, bądź pan łaskaw — rzekła Klemensi, wpuszczając go. — Czem mogę służyć panu?

Ogłoszenie zajęło jego uwagę, zaczął je czytać.

— Wspaniały majątek, panie — rzekł pan Briten.

Nie nie odpowiedział; skończywszy czytanie, odwrócił się i znowu badawczo zaczął patrzeć na Klemensi.

— Czy pani co mówi?... — zapytał, nie spuszczać z niej wzroku.

— Pytam, czy pan czego nie potrzebuje? — odpowiedziała Klemensi, ze swej strony spoglądając na niego ukradkiem.

— Jak mi dacie buteleczkę porteru — rzekł, kierując się ku oknu — i pozwolicie zostać tutaj, nie przeszkadzając sobie w herbatce, będę wam nadzwyczaj wdzięcznym.

Z temi słowy usiadł za jednym ze stołów i zaczął patrzeć w okno. Był to okazały i piękny młodzieniec, czarne wąsy i gęste czarne włosy ocieniały jego męską, ogorzałą twarz. Kiedy podano mu porter, nalał szklanek, wypił za powodzenie domu i zapytał:

— Ten dom niedawno zbudowany?

— Nie — bardzo dawno, panie — odpowiedział Briten.

— Ale już będzie z pięć lub sześć lat temu — rzekła Klemensi, akcentując słowa.

— Zdawało mi się, że państwo wymówili imię doktora Dzeddlera, czy tak? — pytał nieznajomy. — To ogłoszenie przypomniało mi go. Znam trochę ich rodzinne sprawy. Powiedźcie mi, czy stary jeszcze żyje?

— A jakże, panie, żyje — odpowiedziała Klemensi.

— Bardzo postarzał?

— Od jak dawna, panie? — zapytała bardzo znacząco Klemensi.

— Od czasu ucieczki córki.

— O, tak; od tej pory strasznie zmienił się, posiwiał i postarzał; myślę jednak, że on teraz o wiele szczęśliwszy. Pogodził się ze siostrą i często ją odwiedza. Zdaje mi się, że to dla niego wielka przyjemność. Z początku wydawało się, że zupełnie upadł na duchu i żał było starego, kiedy wszystko wyśmiewał. Dwa lata temu zaszła w nim znaczna przemiana na lepsze; zaczął częściej wspominać zaginioną córkę i chwalić ją; odtąd styka się nawet z ludźmi. Wtedy jej przebaczył. Było to w dzień ślubu panny Grez. Przypominasz sobie, Briten?

Pan Briten doskonale pamiętał.

— A więc siostra jej zamężna? — zapytał nieznajomy. A po krótkim milczeniu dodał. — Za kogo wyszła?

Klemensi, usłyszawszy to pytanie, o mało ze zdumienia nie wypuściła tacy z filiżankami.

— Jakto, pan tego nie słyszał? — spytała.

— Nie, ale chciałbym wiedzieć — rzekł nieznajomy, nalewając drugą szklankę i podnosząc ją do ust.

— O, to poprostu powieść, jeśli się tylko umiało powiedzieć. — Klemensi oparła się o dłoń lewej ręki, której łokieć spoczywał na dłoni prawej ręki i z zadumaniem kiwała głową, pogrążona we wspomnieniach przeszłości. — Długoby o tem opowiadać.

— Niech pani opowie w kilku słowach — zaproponował nieznajomy.

— Jeśli tak, to pocóż panu o tem mówić? — ciągnęła Klemensi z tym samym wyrazem zamyślenia, nie zwracając się do nikogo i nie zdając sobie sprawy, że mówi przy kimś. — Oboje boleli, wiele rozmawiali o niej, jak o umarłej, a miłość ich ku niej była tak wielka, że w swych wspomnieniach nigdy jej nie oskarżali; przeciwnie, przypominając sobie o wszystkim, o jej postępkach, zawsze starali się ją usprawiedliwić. Wszyscy o tem wiedzą, a ja lepiej od innych — dodała Klemensi, ocierając łzy ręką.

— I tak — rzekł nieznajomy.

— I tak — Klemensi bezwiednie powtórzyła jego słowa i ciągnęła, nie zmieniając swej pozy — wreszcie pobrali się. Obrzęd odbył się w dzień jej urodzin, jutro jego rocznica, ślub był bardzo cichy, ale oni nader szczęśliwi. Pan Alfred postanowił ożenić się w dzień urodzin Merion — no i tak się stało.

— A szczęśliwie żyją? — zapytał nieznajomy.

— Trudno znaleźć szczęśliwszą parę — jedynem zmartwieniem zaginięcie siostry.

Wtem podniosła głowę i skierowała wzrok na nieznajomego, widocznie przypominając sobie i uświadamiając wszystkie okoliczności. Stał zwrócony do niej plecami, z twarzą ku oknu, patrząc uważnie w dal. Wtedy ona obróciła się w stronę Britena i zaczęła mu dawać jakieś

znaki, wskazując na ogłoszenie i bez dźwięku poruszała wargami, jakby powtarzając wciąż jedno słowo czy frazes. Pan Briten dziwił się bardzo, nie słysząc słów, a nie rozumiejąc mimiki, która jak wszystkie jej ruchy wogóle, była bardzo dziwnego rodzaju. Z roztargnieniem patrzył na stół, nieznajomego, łyżeczkę do herbaty, żonę, ze swej strony badając, czemu zagraża niebezpieczeństwo: czy sprzętom, czy jemu samemu, czy jej i odpowiadał na jej sygnały taką samą pantomimą, wyrażając zupełną niemożność skonstatowania z ruchów jej warg tego, co chciała mu oznajmić.

Klemensi musiała zrezygnować z tej niedalekiej polityki, cicho przysunawszy krzesło bliżej nieznajomego, niepostrzeżenie za nim śledziła, oczekując chwili, kiedy znowu przemówi. Nie długo przyszło jej czekać.

— Jakiż dalszy los tej młodej panienki, która uciekła? Zapewne coś o niej wiadomo?

Klemensi wstrząsnęła głową.

— Słyszałam, że doktor Dzeddler wie o tem coś więcej, aniżeli mówi. Pisała do pani Grez, że zadowolona i szczęśliwa z jej związku małżeńskiego z panem Alfredem. Pani Grez odpowiedziała na jej list. Los tej dziewczynki zakryty takim mrokiem, że mógłby go tylko rozjaśnić...

Głos jej drgnął i zatrzymała się w pół słowa.

— Kto? — pytał nieznajomy.

— Mógłby rozjaśnić tylko jeden człowiek na całym świecie — mówiła Klemensi, ledwo oddychając ze wzruszenia.

— Któż taki? — pytał nieznajomy.

— Pan Michał Warden! — zawołała Klemensi, dając poznać mężowi, że nazwisko to wtedy chciała mu powiedzieć, a także Michałowi Wardenowi, że go poznała.

— Pan sobie mnie przypomina? — zapytała Klemensi drżącym ze wzruszenia głosem. — Widzę, że pan mnie sobie przypominał. Pamięta pan tę noc w sadzie? Wszakże ja byłam z nią.

— Tak, wiem o tem — odpowiedział.

— Otóż to ja byłam. A to mój mąż. Ben, mój przyjacielu, biegnij prędko do pani Grez, do pana Alfreda, biegnij do nich! Zawołaj ich tu prędko!

— Zaczekajcie! — zatrzymał ich pan Warden, spokojnie zagrządzając drogę — Co chcecie zrobić?

— Dać im znać, że pan tutaj — odpowiedziała Klemensi silnie wzruszona — że ona nie bezpowrotnie dla nich zginęła, że mogą się o niej od pana wiele dowiedzieć, наконец, że może wreszcie ona powróci do domu! Jakież to szczęście dla starca, dla siostry a i dla mnie samej, starej jej sługi, choćby zobaczyć ją, moją najdroższą! — krzyknęła, uderzając się obiema rękami w piersi. — Biegaj że, biegaj prędko

Ben! — i delikatnie popychała go do drzwi, przed którymi wciąż jeszcze stał Michał Warden, z boku patrząc na nią i zagradzając drogę.

— A może ona tu niedaleko — ciągnęła gorąco Klemensi, biegnąc naprzód i chwytając w uniesieniu pana Wardena za płaszcz — widzę to po pańskiej minie. Pozwól mi pan choć spojrzeć na nią! Przecież ja ją wyniańczyłam, ona wyrosła na moich rękach! Przecież my wszyscy chlubiśmy się nią! Wiedząc, że jest narzeczoną pana Alfreda, jakim ja się starała zatrzymać ją, kiedy ją pan namówiłeś do ucieczki! Wszystkich ich kochałam i wiedziałam, czym ona była dla rodziny, kiedy uciekła, a gdy ją uważano za zaginioną, widziałam ich rozpacz. Niech pan mnie puści do niej, i da mi opowiedzieć jej wszystko, czym spełniona moja dusza!

Wzrok jej wyrażał głębokie uczucie i błaganie; ale on milczał.

— Może obawia się iść do domu, nie wiedząc, jak ją przyjmą? Pozwól mi pan iść do niej i oznajmić jej, że oni nie tylko jej przebaczyli, ale kochają więcej, niż przedtem, że spotkanie z nią będzie dla nich największym szczęściem życia! Powiedz mi prawdę, panie Warden, wszak ona z panem?

— Nie, jej niema ze mną — odpowiedział boleśnie.

Jego smutny wygląd, żałobna odzież, zamiar nie wracania z zagranicy, wreszcie i sama odpowiedź — wszystko wyjaśniły. Wszystko zrozumiałe. Merion umarła!

On jej nie przeczył. Tak, ona umarła! Klemensi osunęła się na stół i gorzko załkała.

W tej chwili szybko wbiegł siwy staruszek, do tego stopnia zdyszany, że po głosie ledwo można było poznać pana Snitczy.

— Wielki Boże, pan Warden! — zawołał adwokat, odprowadzając go na bok. — Jakiż los... — tak się zadyszał, że nie mógł mówić — cię tu przywiódł? — dokończył po krótkiej przerwie.

— Boję się, że zły los mnie tu przywiódł — odpowiedział. — Jeślibyś pan był świadkiem tego, co się tu dopiero co stało, zrozumiałbyś, że nic prócz bólu i smutku ze sobą nie przynoszę.

— To zupełnie zrozumiałe. Ale z czemżeś tu pan przyszedł? — pytał doktor.

— Czyż mogłem się domyślić, kto tu gospodarzem? Posłałem do pana swego sługę a sam tu zaszedłem, myśląc, że mnie tu nikt nie zna. Dla mnie wszystko w tych stronach i stare i nowe ma wielkie znaczenie. Wreszcie chciałem się przywitać z panem najpierw a potem zaraz udać się do miasta. Chciałem usłyszeć, co o mnie mówią. Widzę, że pan wiele może mi powiedzieć. Tak, panie Snitczy, gdyby nie wasze

przeklęte zakazy, dawno już zacząłbym rządzić swym majątkiem!

— Nasze zakazy! — zawołał adwokat. — Mówię za siebie i świętej pamięci Kreggsa — pan Snitczy popatrzył na swój kapelusz ze wstążką z czarnej krepy i smutnie pokiwał głową — czyż można nas o to obwiniać? Wszak ułożyliśmy między sobą nigdy nie dotykać tej kwestyi; ja nawet zapisałem pańskie własne słowa, jako niewłaściwie skierowane do tak poważnych i czynnych ludzi, jak my. Nasze zakazy! Pan Kreggs zszedł do grobu w pełnem przekonaniu

— Obowiązałem się milczeć do swego powrotu tutaj, kiedykolwiekby on nastąpił — przerwał pan Warden i zamierzam dochować słowa.

— Doskonale, panie, my ze zwej strony też byliśmy obowiązani milczeć w stosunkach między sobą, jak i w stosunkach z klientami. Pan sam nie dawał znaku życia; czyż mogliśmy się wywiadywać i to jeszcze w tak drażliwej sprawie? Już dawno to przewidywałem, ale stwierdziłem pół roku temu, słysząc, żeś ją stracił.

— Od kogoś pan to słyszał? — zapytał klient.

— Od samego doktora Dzeddler, panie, który swoim zwyczajem okazał mi zaufanie. On jedynie znał już dawno całą prawdę.

— A pan także zna ją?

— Bez wątpienia, panie! — odpowiedział Snitczy. — Jutro wieczorem i jej siostra miała się o wszystkim dowiedzieć, w każdym razie jej to obiecano. A do tej pory zechciej pan być gościem w mym domu, bo w swoim własnym nie możesz się zatrzymać, dla uniknięcia nowych kłopotów i dlatego, by pana nie poznano, choć takeś się pan zmienił, że ja sam, spotkawszy pana, wątpię, czybym poznał: będziemy tu objadowali, a wieczorem pójdziemy piechotą do domu. Tu smacznie karmią, panie Warden, a przytem pan jesteś na swej ziemi! Ja i Kreggs — ach, świętej pamięci! — często tu zachodziliśmy zakąsić i wypić buteleczkę porteru, i zawsze byliśmy zadowoleni. Pan Kreggs — rzekł Snitczy, zamykając na chwilę oczy — trochę zawcześnie zszedł do mogiły.

— Wybacz pan — rzekł pan Warden, przesuwając ręką po głowie — taki jestem wzruszony, jakbym marzył. Pan mówi... tak, pan Kreggs, a tak, bardzo go mi żal. Mówiąc to, patrzył na Klemensi, którą mąż starał się pocieszyć i zdawało się bardzo współczuł z nią.

— Panu Kreggsowi — mówił Snitczy — niestety, wypadło przekonać się własnem doświadczeniem, że utrzymać życie, kiedy od nas ucieka, nie tak to łatwo, jak mu się wydawało w teorii; gdyby nie to, do tej pory byłby żył. Dni moje teraz — to ciągle zanikanie. On był

moją prawą nogą, mem prawem uchem i prawem okiem. Bez niego jestem zupełnie sparaliżowany. Przekazał pani Kreggs swą część udziału w naszych interesach; nazwisko jego do tej pory pozostaje w firmie. Niekiedy staram się wmówić w siebie, że żyje. Pan zapewne zauważył, że dotychczas jeszcze mówię „za siebie i za Kreggsa“, św. pamięci, świętej pamięci — mówił czułego serca Snitczy, wyciągając chustkę do nosa.

Michał Warden, cały czas śledząc Klemensi, obrócił się do pana Snitczy, kiedy ten umilkł i szepnął mu coś na ucho.

— O, tak, biedaczka! — rzekł Snitczy, kręcąc głową. — Tak, ona była bardzo przywiązana do Merion, a i oddaną im wszystkim. Biedna Merion! Uspokój się pani, przecież teraz już jesteś zamężną, tak?

Klemensi tylko westchnęła za całą odpowiedź.

— Dosyć! Dosyć! Pomartw się jeszcze do jutra! — rzekł łaskawie adwokat.

— Jutrzejszy dzień nie wskrzesi zmarłych, panie — odpowiedziała Klemensi, płacząc.

— Nie, inaczej wskrzesiłby i św. pamięci Kreggsa — powiedział adwokat. — Ale być może przyniesie coś pocieszającego i zmięczy twój ból. Pocierp do jutra!

Klemensi uściśnęła mu rękę i obiecała poczekać. A Briten, zmartwiony boleścią żony

i obawiając się, ażeby z tego powodu nie straciły sprawy domu, rzekł: „To prawda.“ Pan Snitczy i Michał Warden poszli na górę i zajęli się rozmową w oczekiwaniu obiadu; głosy ich przygłuszał brzęk talerzy, skwarczenie brytwanny, bulgotanie kociolka, jednostajne skrzypienie różna i wogóle przygotowania do obiadu z kuchni.

Nazajutrz była cicha, jasna pogoda; nigdzie nie było tak przyjemnie, jak w miłym ogródku doktora obok domu. Śnieg wielu zimowych nocy stopniał i wiele razy z końcem lata liście opadały i zaścielały ziemię od czasu jej ucieczki. Pnące róże na froncie wspaniale rozrosły się; po trawie przebiegał lekki cień drzew, wszystko było spokojne, jak zawsze; ale gdzie była ona?

Nie tu, tylko nie tu. Dziwnem wydałoby się jej pojawienie w tym starym domu — równie dziwnem, jak jej zniknięcie w dzień ucieczki. Na jej ulubionem miejscu siedziała młoda kobieta, serce której pełne było jej wspomnień: była to Grez. Do tej pory przechowywała ona w pamięci obraz siostry, młodej, kwitnącej, pełnej nadziei, oddając mu w swych uczuciach pierwsze miejsce bez względu na to, że była już matką; Merion niepodzielnie panowała w jej sercu; miłość ku niej przepełniała całą duszę Grez. Obok niej siedział mąż; u jej nóg igrała ich maleńka córeczka. Była to rocznica ich ślubu a równocześnie dzień urodzin Merion.

Alfred nie spełnił nadziei doktora, nie osiągnął ani sławy, ani bogactwa; ale nie zapomniał swych starych przyjaciół. Poświęcił się wesoło skromnej służbie dla bliźnich, łagodził ich cierpienia i spędzał cierpliwie długie godziny u wezglówia chorych. Stykając się codziennie z ludźmi, zostającymi w najcięższych warunkach życia, przekonał się, że żadne ubóstwo nie zdoła w nich zabić ludzkich uczuć, stanowiących największe dobrodziejstwo. Poprzednia jego wiara w ludzi z biegiem czasu jeszcze się wzmocniła. W swem skromnem, cichem życiu musiał przyznać, że aniołów i teraz spotyka się na ziemi i niekiedy pod niepozorną postacią ukrywa się przepiękna dusza, którą niedostatek, nieszczęścia i próby jeszcze rozjaśniają i otaczają, jakby aureolą. Być może, że osiągnął wznioślejszy cel, pozostając skromnym, wiejskim doktorem, niż ten, jakiby osiągnął, gdyby starał się o sławę lub bogactwa. Był szczęśliwym, żyjąc na Starem Bojowie Polu ze swą dobrą żoną, Grez.

A Merion, czyż on o „niej“ zapomniał?

— Jak to szybko przemija czas! — rzekł — mówili o tej strasznej nocy. — Zdaje mi się, że to było ogromnie dawno! Czas powinno się liczyć nie liczbą lat, ale temi przejściami, któreśmy przeżyli.

— Odkąd Merion nas porzuciła, minęło i wiele lat — odpowiedziała Grez — już całych

sześć! Kiedyż ona nareszcie wróci, czy ją zobaczę jeszcze? Kiedyż?

Łzy pojawiły się w jej oczach, a mąż czule ją przygarnął do siebie.

Merion pisała ci w liście, który nieustannie czytasz, że lata przemina, zanim stanie się to możliwem. Pamiętasz?

Wydostała list, który zawsze nosiła na piersiach, pocałowała go i rzekła „tak“.

— Przez ten cały czas, choćby nie wiem jak była szczęśliwą, zawsze duszą obecną będzie przy tobie i w swoim czasie wszystko ci odkryje. Zaklina cię, byś jej wierzyła i miała nadzieję. Wszak tak ona pisze, moja droga?

— Tak, Alfredzie.

— I w każdym liście?

— Tak, prócz ostatniego z przed kilku miesięcy, w którym pisze o tobie; dziś w dzień jej urodzin powinnam ci wyjawić to, co już dawno wiesz.

Patrzył na słońce, które szybko chyliło się i oświadczył, że minął czas oznaczony.

— Alfredzie — rzekła poważnie Grez, kładąc mu rękę na ramię — w liście, który, jakżeś zauważył, tak często czytałam, niema nic, o czembym ci jeszcze nie mówiła. Ale dziś zbliżył się naznaczony termin i nie mogę dłużej milczeć. Popatrz na cudny wieczór, pod wpływem którego cała przyroda i nasze życie, jakby zmlkły i ucichły.

— Cóż to takiego, moja ukochana?

— Odchodząc, Merion oddała mi ciebie w opiekę, tak jak ty niegdyś mnie ją poleciłeś; wiedząc, jak wy oboje drodzy mi jesteście, prosiła, abym nie odrzuciła twej miłości, którą bez wątpienia przeniesiesz na mnie, gdy się zagoi świeża rana; błagała, abym ci odpłaciła tem samem uczuciem.

— I uczyniła mnie najszcześliwszym z ludzi, zmuszając szczyć się tobą, Grez?

— Chciała, bym błogosławiła los za to szczęście, że jestem kochaną przez ciebie — odpowiedziała mu żona, skłaniając głowę na jego ramię.

— Posłuchaj mnie, droga — rzekł czule, biorąc ją w swe ramiona — rozumiem, dlaczego do tej pory o tem nie słyszałem, a ty ani słowem ani wzmianką nie dałaś mi tego poznać. Wiem, dlaczego, moja droga Grez, tak niechętnie zgodziłaś się zostać mą żoną. Znając to, jakże mogłem nie cenić swego szczęścia, zesłanego mi przez Opatrzność i nie błogosławić jej?

Łzy spływały po jej obliczu; płakała ze zbytku szczęścia. Alfred zwrócił się do dziecka, bawiącego się u ich nóg kwiatami i wskazał mu purpurowy blask zachodzącego słońca.

— Alfredzie — rzekła Grez, słysząc jego słowa — dziś wszystkiego powinnam się dowiedzieć, czy tak?

— Dowiesz się całej prawdy o Merion, moja droga — odpowiedział.

— Tylko prawdy — błagała — i teraz nie już nie będziecie ukrywali przedemną, Alfredzie? obiecałeś.

— O tak.

— I to będzie dziś? Popatrz, jak szybko słońce zachodzi.

Objął ją i rzekł, patrząc jej prosto w oczy:

— Ale prawdę usłyszysz nie odemnie, lecz z innych ust.

— Z innych ust! — szepnęła.

— Tak. Znam ciebie i całą siłę twego uczucia; powiedz, czyś gotowa znieść próbę? Masz słuszność — czas nastąpił. Nabierz sił, Grez; zwiastun już u drzwi.

— Jaki zwiastun? — zapytała. — Cóż powie?

— Nie mam prawa mówić. Dałem słowo, że będę milczał — odpowiedział poważnie. — rozumiesz?

— Boję się — nie śmiem rozumieć! — wyszeptała Grez.

Zadrżała, widząc jego wzruszenie i poważny wygląd; schyliwszy głowę na jego ramię, prosiła, by pozwolił jej przez chwilę zebrać siły.

— Zbierz siły, żono, słońce już prawie zaszło; czyś gotowa spotkać zwiastuna? Oto i on!

Greż podniosła głowę; była gotowa. Alfred wziął córkę ze sobą. Wezwała ją z powrotem — nazywali ją imieniem zaginionego dziewczęcia — i silnie przytuliła ją do piersi. Oswobodziwszy się z objęć matki, dziewczynka pobiegła za ojcem. Greż pozostała sama.

W oczekiwaniu, przechodząc od strachu do nadziei, Greż pozostała nieruchomą, nie odrywając oczu od portyku, za którym skryli się. Boże, cóż to takiego? Czyja to postać, w białej sukni, występuje z mroku, podchodzi do progu i skłania ojcu głowę na piersi? Kogoż to on okrywa gorącymi pocałunkami? Z objęć starca widocznie wprost kieruje się ku niej i w bezprzytomnem uniesieniu pada jej na piersi!

— O, Merion, Merion! O, siostrze, życie moje, radości! To nie widziadło, nie marzenie, to ta sama czarująca Merion, śliczna i szczęśliwa; próby i troski nie zostawiły na niej śladów, a jej idealna główka w promieniach zachodzącego słońca zdawała się być wcieleniem anioła, zstępującego na ziemię, aby przynieść światu pociechę. Przytuliwszy się do siostry, która bezsilnie osunęła się na ławkę, pochyliła się nad nią, uśmiechając się przez łzy, a objawszy rękami jej szyję, nie spuszczała z niej oczu. Merion wreszcie przerwała milczenie głosem czystym, spokojnym i miłym, jak całe wokoło otoczenie.

— Przedtem, kiedy dom ten był moim — Greż...

— Merion, mów! Znowu słyszę twój głos! Jeszcze w żaden sposób nie mogła się oswoić z tem szczęściem.

— Kiedy dom ten był moim, Greż, całą duszą kochałam Alfreda i gotowa byłam na każdą dla niego ofiarę, bez względu na swą młodość. Był droższym dla mnie nad wszystko na świecie, a ja gotową byłam umrzeć za niego. Chcę, byś wiedziała, jak prawdziwem było moje uczucie, jak drogim był dla mnie w tym czasie. Teraz już to dawno minęło i wiele obecnie zmieniło się, ale wtedy jam go kochała i nigdy nie był mi droższym, niż tej nocy, kiedy uciekła.

Greż słuchała, schylając się nad nią, czule patrząc na nią i silnie przyciskając ją do swej piersi.

— Zanim mogłam jednak rozpoznać swe uczucia i rozporządzać sobą, on już nieświadomie zawładnął drugiem sercem — twojem Greż, — cicho ciągnęła Merion — a ty, z miłości ku mnie, byłaś gotową poświęcić się, zagłuszając swe uczucie i skrywając je przed oczami ludzi. Ale ja spostrzegałam więcej pod wpływem gorącej miłości i wdzięczności ku tobie; znałam głębiej twego uczucia i zrozumiałam ciężką twą walkę. Wiedziałam, jak bardzo Alfred cię cenił

i jak lubił cię, mimo miłości ku mnie. Mając przed oczami twój przykład, czyż mogłam nie odplacić ci za to wszystko, coś dla mnie uczyniła! Ze łzami prosiłam Boga o siły do mającej się stoczyć we mnie walki; nigdy nie zapomniałam słów Alfreda w dzień jego odjazdu — ach, ileż w nich prawdy! Stwierdziłam na tobie, że konieczność nieraz nas zmusza przeżywać taką walkę ze sobą i osiągać zwycięstwo, w porównaniu z którą zwykła walka na polu bitwy — niczem. Im więcej rozmyślałam, tem łatwiej udawało mi się w tej walce, nie upadając na duchu, odnosić zwycięstwa, których nikt z otaczających się nie domyślał. A Temu, przed którym odkryte są nasze serca, Temu wiadomo, moja droga, że w duszy mej niema ani bólu, ani żalu, niczego, prócz zupełnego szczęścia! Pan dał mi siłę wyrzec się miłości Alfreda; niech Alfred będzie moim bratem jako twój mąż, jeśli dążenia moje osiągną pożądany koniec. Ale Grez, pozbyłam się myśli pozostania jego żoną, choć był mi nad wyraz drogim!

— O, Merion, Merion!

— Starałam się być obojętną — jeszcze silniej przytuliła się do siostry — a to było bardzo trudno, tem bardziej, że ty zawsze za nim przemawiałaś. Chciałam, byś się przyznała do wszystkiego, aleś ty słyszeć o tem nie chciała! Chwila jego powrotu zbliżała się, trzeba było się zdecydować, zanimby odnowiły się nasze

dawne stosunki. Zrozumiałam, że łatwiej jest przenieść jedną ciężką chwilę, aniżeli wyrzucać sobie przez całe życie. Wiedziałam, że wszystko musi się tak zakończyć, jak się stało, jeśli ucieknę; nie omyliłam się, o, teraz jesteśmy nie-skończenie szczęśliwi, Grez! Porozumiałam się z ciotką Martą, prosiłam ją, by mi dała przytułek i odkryłam jej część prawdy. Podczas gdy obmyślałam swój plan i walczyłam ze swem przywiązaniem do ojca i ciebie, los przywiódł pana Wardena do naszej rodziny, czyniąc go gościem w naszym domu.

— W minionych latach budziło się we mnie to podejrzenie! — krzyknęła Grez, strasznie pobladłszy. — Tyś go nie lubiła i wyszłaś za niego z mego powodu!

— Wybierał się wówczas do wyjazdu na czas długi — ciągnęła Merion, nie wypuszczając ze swych objęć siostry — pisał do mnie, bym porzuciła nasz dom, wyjaśnił swe trudne położenie, swe interesy, nadzieje na przyszłość i prosił o mą rękę. Pisał, że jemu wiadomo, jak obawiam się powrotu Alfreda; zapewne zdawało mu się, że serce moje nie brało udziału w tem zobowiązaniu, albo że z czasem ochłodła; może myślał, że staram się ukryć swoją obojętność — kiedym właśnie starała się być obojętną, — nie wiem. Pragnęłam tylko, byś ty uważała mnie za bezpowrotnie straconą dla Alfreda, jakby umarłą! Rozumiesz, droga?

Greż pytająco spoglądała jej w oczy; ona wciąż jeszcze wątpiła.

— Poznawszy pana Wardena, odkryłam mu przed odjazdem i powierzyłam całą tajemnicę, licząc na jego szlachetność. Dochował jej święcie. Teraz wszystko dla ciebie jasne, moja droga?

Greż, jak oszołomiona, patrzyła na nią, nie rozumiejąc.

— Siostro moja, kochana! — rzekła Merion. — Przyjdź do siebie, zbierz myśli, wysłuchaj mnie. Są kraje, gdzie ludzie uciekając od nie-szczęsnej miłości lub utraciwszy swe uczucia, na zawsze oddzielają się od świata, wyrzekają się nadziei i światowej miłości. Kiedy tak postępują kobiety, nazywają je siostrami, nazwą tak drogą dla nas obu. Alesą i inne kobiety, które pozostając w świecie, starają się nie odróżniać od pierwszych, pracować z pożytkiem, dodawać otuchy i troszczyć się o dobro w miarę sił i możliwości. One osiągają tenże sam cel, pozostając swobodnymi i nie tracą prawa do osobistego szczęścia.

Greż, wciąż jeszcze nie mówiąc ani słowa, z wytężeniem patrzyła na siostrę.

— O Greż, moja droga — mówiła Merion, wciąż tuląc się do siostry, z którą tyle lat była rozłączona — jeśli bym nie znalazła ciebie szczęśliwą żoną i matką, jeśli byś nie miała malutkiej

córeczki, mej siostrzenicy, jeśli by Alfred nie był twym mężem, cóżby mogło wywołać nieopisane uniesienie, jakie czuje moja dusza! Serce me nie знаło innej miłości, a ręki swej bez miłości nie oddałam, jestem wciąż twoją niezamężną siostrą, jak poprzednio swobodną i zupełnie wolną! Ty jedna żyjesz w sercu twej kochającej Merion i niepodzielnie niem władasz!

Wreszcie zrozumiała; łyzy obfitym potokiem polały się jej z oczu i długo łkała i płakała na piersi siostry, pieścąc ją, jak dziecko. Uspokoiwszy się, spostrzegły, że doktor i jego staruszka — siostra wraz z Alfredem podeszli ku nim.

— Dziś dla mnie szczęśliwy dzień — rzekła ciotka Marta, uśmiechając się przez łyzy i obejmując obie płaczące — tracę miłą towarzyszkę z powrotem Merion do was, wam dobrze, a mnie czem nagrodzicie?

— Nawróceniem brata na drogę prawdy — odrzekł doktor.

— Prawda i to coś znaczy w takiej głupiej farsie.

— Proszę cię, przestań — przerwał jej doktor z postawą poprawiającego się grzesznika.

— Dobrze, dobrze; więcej nie będę — odpowiedziała ciotka Marta — widzę jednak, że wy ze mną źle postąpiliście. Nie wiem, co ze mną będzie bez Merion. Przeżyłyśmy z nią sześć lat, nie rozstając się.

— Pozostań z nami — rzekł doktor — teraz już nie będziemy się sprzeczać.

— Czy ciocia wychodzi za mąż? dodał zartem Alfred.

— W rzeczy samej — odpowiedziała stara panna — czemuż bym nie miała zwrócić się do Michała Wardena, który, jak słyszałam, przybył do domu? Przebyta tułaczka, jak mówią, pod każdym względem przyniosła mu korzyść. A choć jestem o wiele starszą, znałam go jeszcze dzieckiem, ale zato cieszę się jego wzajemnością. Lepiej poczekam, aż Merion wyjdzie za mąż, a do tej pory jak dawniej żyć będę sama; cóż ty powiesz, bracie?

— Chciałbym powiedzieć, że świat oszalał i w nim nic rozsądnego — odpowiedział biedny, stary doktor.

— Mów sobie, co chcesz — rzekła siostra — Któż ci uwierzy, szczególnie spojrzawszy ci w oczy.

— W świecie, mimo jego głupoty, jest wielu pięknych, serdecznych i rozumnych ludzi — rzekł doktor, równocześnie obejmując obie swe córki. — Nie będziemy lekkomyślnie sądzili, nie wiedząc, co się kryje w głębi ludzkich dusz; o tem wie jeden tylko Stwórca!

Nie będziemy opisywali ani nieskończonej radości rodziny, która przeżyła tyle bólu skutkiem długiej rozłąki, ani tego, jaką ciężką drogą zdobył doktor przekonanie, że uczucia ludzkie

są głębokie, skoro oddalenie nie wiele znaczącej jednostki, jak w tym przypadku mogło go doprowadzić do takiej rozpacz, dopóki nie dowiedział się tajemnicy od siostry, która z litości powoli odkryła mu wszystko i dała możność ocenienia rzadkiej szlachetności córki, dobrowolnie porzucającej rodzinę dla szczęścia siostry. U siostry widywał się z Merion, póki ta u niej mieszkała. Alfred, niedawno też widział się z Merion i dowiedział się od niej o wszystkim; obiecała mu odkryć wreszcie tajemnicę siostrze w dzień swych urodzin, w ich ogrodzie po zachodzie słońca.

— Proszę o przebaczenie, doktorze Dzeddler — rozległ się głos Snitczego, wyglądającego z poza furtki — można wejść? — Nie czekając na odpowiedź, podszedł do Merion i pocałował ją w rękę.

— Jeśliby nieodżałowany pan Kreggs żył, droga panno Merion — rzekł pan Snitczy — wziąłby gorący udział w tem zdarzeniu. Być może, ono przekonałoby go, że życie pani nie tak lekkie, jak myślał; nie szkodziłoby je trochę szczęśliwszem uczynić, o ile można. Pan Kreggs był zawsze człowiekiem, który dał się przekonać; gotów był zawsze wysłuchać wywodów. Niestety nie jest już w stanie o czemkolwiek się przekonywać, inaczej... Pani Snitczy, duszko — zwrócił się ku żonie, wchodzącej we furtkę — chodź, tu są starzy przyjaciele!

Pani Snitczy, po zwykłych przywitaniach i pozdrowieniach, odprowadziła męża na bok.

— Chodźno tu, panie Snitczy, posłuchaj — rzekła — Wiesz, że nie lubię mieć pokoju zmarłych.

— Wiem, duszko, wiem — odpowiedział mąż.

— Ale pan Kreggs...

— Teraz już świętej pamięci, duszko, świętej pamięci — przerwał pan Snitczy.

— Proszę cię, pamiętasz ty ten bal? — mówiła żona — Mów, pamiętasz, jakim cię błagała na kolanach? Oczywiście, jeżeli pamięć ciebie nie zawodzi, jeśli możesz wyrzec się swej słabości, proszę cię, przypomnij sobie...

— Na kolanach, duszko? — pytał zdumiony Snitczy.

— No, tak, oczywiście — dość żywo potwierdziła pani Snitczy — czyż sam tego nie pamiętasz? Prosiłam cię, abyś mu spojrzał tylko w oczy — no jakże, czyż nie miałam słuszości. Czym nie przestrzegала, wszak on widocznie był o wszystkim powiadomiony, tylko ukrywał.

— Pani Snitczy — szepnął jej mąż do ucha — a w moich oczach niczegoś nie zauważyła?

— Oczywiście nie; ale gdzież ty byś! — odpowiedziała pani Snitczy.

— A zatem muszę ci oznajmić — rzekł, biorąc ją za rękaw — że obaj znaliśmy jedną tajemnicę i obaj ją kryliśmy. W zawodowych

sprawach — inaczej nie można. To też, czem mniej o tem będziemy mówili, tem lepiej, pani Snitczy. A jeśli prawdę rzec, staraj się wogóle na wszystko rozumnie zapatrywać i pobłażliwiej, ot co. Panno Merion, przyprowadziłem pani starego przyjaciela. Gospodyni, proszę tutaj!

Biedna Klemensi, zakrywając twarz fartuchem, powoli postępując, weszła podtrzymywana przez męża; ten ostatni był niespokojny o los „Muszkatułowej tarki“.

— No, moja pani — rzekł Snitczy, stając między Klemensi a Merion, chcącą podbieść naprzeciw niej i zatrzymując ją.

— Jakto, co się stało? — spytała Klemensi

Podniosła ze zdziwieniem oczy i z wyrzutem patrząc na pana Snitczy, wodziła wzrokiem po wszystkich obecnych; gotową była już wynurzyć swe żale, gdy nagle zastanowił ją dziwny wygląd Britena i ujrzała przed sobą drogą, śliczną twarzyczkę; zrazu osłupiała, potem zaniosła się śmiechem, płakała i ścisłała po kolei wszystkich, a także pana Snitczy, ku wielkiemu niezadowoleniu jego żony; przechodząc z jednych objęć do drugich, wreszcie objęła samą siebie, nakryła głowę fartuchem i zupełnie swobodnie rozplakała się.

W tej chwili wszedł do sadu jakiś nieznamy i stał w oddaleniu przez nikogo nieostrzeżony. Jego uwaga była skierowana na Klemensi i zajęta nadzwyczajnymi objawami jej

wzruszenia. Zdawało się, że nieznajomy rad był z tego, że go nie zauważono i trzymał się na boku, spuściwszy oczy. Bolesny wyraz jego twarzy stanowił żywy kontrast z radosnym wyglądem pozostałych. Bystre oczy ciotki Marty spostrzegły go prędzej niż inni. Podeszła natychmiast do niego i zaczęła rozmawiać; potem zwróciła się do obu siostr i szepnęła coś Merion na ucho. Ta zmieszała się, ale wkrótce przyszła do siebie i wahając się poszła wraz z ciotką do nieznajomego. Rozmowa zaczęła się toczyć między trojgiem.

— Panie Briten — rzekł adwokat, sięgając ręką do kieszeni i wyjmując stamtąd jakiś urzędowy papier — witam cię jako jedyne go i wyłącznego właściciela dzierżawionej przez pana ziemi i domu z oberżą, w którym teraz mieszkasz i który utrzymujesz pod nazwą „Muszkatłowej tarki“. Żona pańska, która straciła miejsce z winy mego klienta, pana Wardena, za to obecnie otrzymuje z jego łaski inne miejsce. Proszę o wasz głos na następnych wyborach.

— Przepraszam, czy nie stracę prawa głosu, jeśli zmienię godło, panie? — zapytał pan Briten.

— Naturalnie, że nie — odpowiedział adwokat.

— To niech pan wstawi z łaski swojej — rzekł pan Briten, podając mu z powrotem papier — jeszcze dwa słówka: „i naparstka“, a ja zamieszczę oba te zdania na ścianie w ogólnej sali zamiast portretu żony.



— I mnie pozwólcie — rzekł, zbliżając się nieznajomy, Michał Warden, — skorzystać z mądrości tych sentencji. Panie Giffild, doktorze Dzeddler, mogłem uczynić wam wiele złego; jeżeli stało się inaczej, niema w tem zupełnie mojej zasługi. Nie będę mówił, czy stałem się lepszym, czy mądrzejszym przez tych sześć lat; wiem tylko, że poznałem, co to znaczy wyrzut sumienia. Nie uważam, abym zasługiwał na względy z waszej strony, skoro nadużył gościnności waszej rodziny; odniosłem ciężką naukę, której nigdy nie zapomnę; mam nadzieję z niej skorzystać. Już błagałem o przebaczenie; pojąłem ogromną różnicę, jaka zachodzi pomiędzy mną a panną Merion. Za kilka dni na zawsze porzucę te strony i błagam o przebaczenie: „Czyńcie drugiemu, czego pragniecie dla siebie! Zapomnijcie i przebaccie!“

Czas, odkrywający mi prawem trzydziesto pięcio letnich przyjaznych stosunków dalszy bieg wypadków, opowiadał, że pan Warden nigdzie nie wyjechał i swej majątności nie sprzedawał; przeciwnie, żył wesoło i otwarcie z ukochaną żoną, będącą przedmiotem dumy całej okolicy; nazywali ją Merion. Niekiedy zdarza się, że czas przekręca fakty, toteż nie wiem, o ile temu wszystkiemu można wierzyć.

KONIEC.



9673

